

23, rue Taitbout, PARIS 9^e

CENA 0,80 F
PRIX 7 F. B.

1 września 1968
septembre

Rok wydania XI Nr 36 (568)

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE

FP 2373



NASZA OKŁADKA

Bardzo uroczycie obchodzi się w tym roku w Kraju 75-lecie polskiego ruchu filatelistycznego. Piszemy o tym obszernie na str. 15.

Le mouvement philatéliste fête cette année en Pologne son 75-ème anniversaire. Pour en savoir plus à ce sujet, lisez notre article en page 15.

▲ Le 1-er septembre 1939 éclatait la seconde guerre mondiale et sa première victime fut Varsovie. Depuis la fin de la guerre, le mois de septembre est à Varsovie et en Pologne celui de la reconstruction et de l'épanouissement de la capitale de la nouvelle Pologne.

▲ Le gaz naturel est un combustible qui en Pologne est en voie de faire une imposante carrière. On prévoit qu'en 1975 on consommera en Pologne environ 13 milliards de m³.

▲ M. Tadeusz Szywała de Niles aux USA, vice-président du Comité du Millénaire de la Pologne à Chicago a

FOTOKRONIKA CAF-KEYSTONE

effectué une visite en Pologne en compagnie de sa femme et de ses deux filles. Il a été reçu par l'Association „Polonia”.

▲ La vedette du cinéma polonais Pola Raksa joue dans son dernier film „Rencontre avec la chanson” le rôle d'une chanteuse qui veut monter à Paris.

▲ Le littoral polonais et ses petits ports seront reliés

entre eux par des bateaux-volants pouvant naviguer à 80 km/h. Un de ces derniers a même effectué un voyage jusqu'à Douvres en Angleterre.

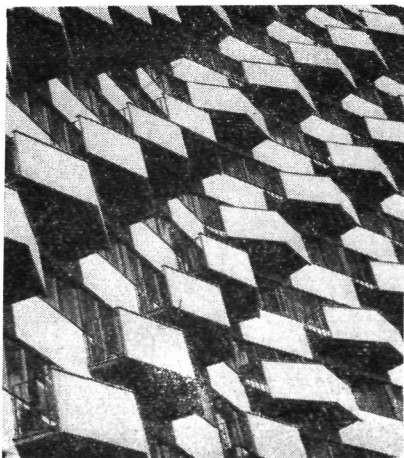
▲ Les revanchards allemands n'ont toujours rien compris des leçons de la dernière guerre. Ils continuent leurs manifestations pour le „retour” des terres qui il y a des siècles ont été volées à la Pologne.

▲ La mode est de plus en plus capricieuse. On ne sait plus ou donner la tête...

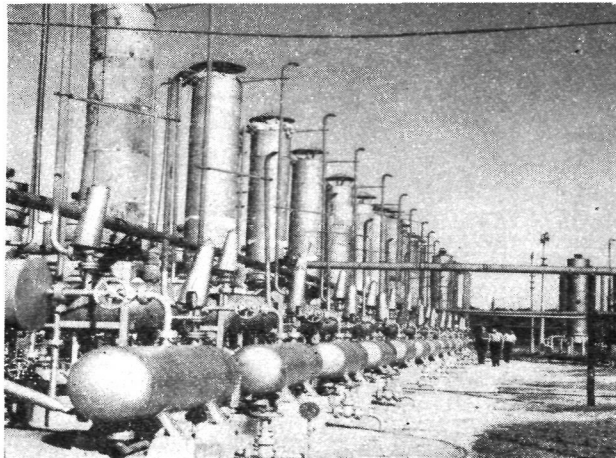
▲ Cette robe de jeune mariée ne laisse rien passer, à moins de se places à contre-jour...

▲ Juan Miro, le célèbre habitant la Côte d'Azur, a une façon bien à lui de concevoir la femme.

▲ Le „scoper” est un nouveau jeu qui vient d'être inventé en Angleterre.



„DNIA PIERWSZEGO WRZEŚNIA ROKU PAMIĘTNEGO...” — tak zaczynały się słowa ludowej piosenki o zniszczeniu Warszawy w czasie bombardowania w 1939 roku, śpiewanej na ulicach stolicy podczas okupacji. Od wyzwolenia wrzesień obchodzony jest jako miesiąc budowy nowoczesnej Warszawy



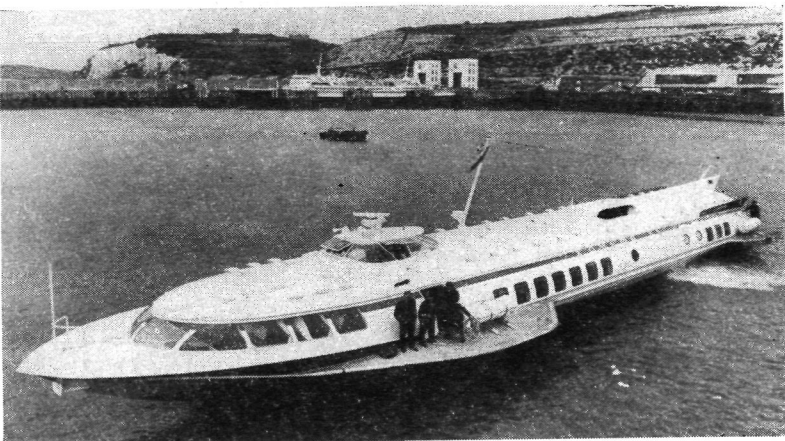
GAZ ZIEMNY — NOWOCZESNE PALIWO. Jego zalety są powszechnie znane. Polska posiada bogate zasoby tego cennego gazu, jedną z bardziej znanych kopalni jest Lubaczów (na zdjęciu). Zużycie gazu ziemnego w Kraju dla potrzeb mieszkańców i przemysłu zgodnie z planami ma do roku 1975 wzrosnąć do 12—13 miliardów metrów sześciennych rocznie. Jest to pokaźna ilość. Warto dodać, że coraz częściej kuchenki gazowe z paliwem w butlach trafiają na wieś



W OSTATNICH DNIACH odwiedził Kraj pan Tadeusz Szywała z Niles w USA, wiceprezes Komitetu Obchodów 1000-lecia Państwa Polskiego w Chicago. Towarzyszyła mu żona Helena i dwie córki. Państwo Szywałowie zwiedzili Kraków, Tarnów, Rzeszów, Lublin i Warszawę. Na zakończenie wizyty odwiedzili Towarzystwo „Polonia”, gdzie podejmował ich sekretarz Towarzystwa mgr Roman Broż (na zdjęciu). Z panem Szywałą, działaczem niezmiernie zasłużonym dla propagandy kultury polskiej w USA, udało nam się spotkać i porozmawiać, o czym piszemy na str. 20



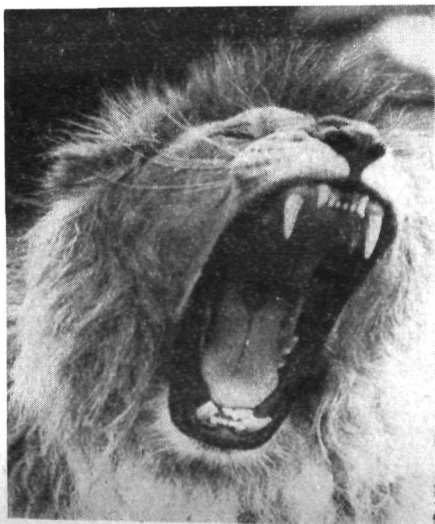
MŁODA AKTORKA POLSKA POLA RAKSA gra czołową rolę piosenkarki, która pragnie zrobić karierę w Paryżu. Jest to nowa komedia filmowa „Spotkanie z piosenką”. W filmie występują również Irena Santor, Bohdan Łazuka, i Czesław Wołłejko. Reżyseruje — St. Bareja, piosenki — M. Sart



WODOŁOT „KOMETA” produkcji radzieckiej jest dobrze znany wszystkim odwiedzającym polskie Pomorze: jedna z „Komet” stale pływa na linii Szczecin - Swinoujście. Ze względu na szybkość i dogodność tego rodzaju statków, przewiduje się wprowadzenie ich i na inne przybrzeżne linie krajowe. Obecnie jedna z „Komet” odwiedziła Wielką Brytanię. Widzimy ją w porcie w Douvres. Anglia pertraktuje o nabycie serii radzieckich wodołotów tego właśnie typu. Zabierają one jednorazowo 150 pasażerów w komfortowych pomieszczeniach, mają ładną sylwetkę i zapewniają wygodną podróż



APETYTY NA POLSKIE ZIEMIE ZACHODNIE są stale podniecane przez odwetowców w NRF przez „ziomkostwa”, znane organizacje rewizjonistyczne. Odwetowcy z ziomkostw mają apetyt nie tylko na ziemie polskie. Na zdjęciu pokazujemy zjazd w Lubece, gdzie niejaki Eggert domagał się oderwania od Kraju prapolskich terytoriów pias-towskich. Odwetowcy niemieccy domagają się także czeskich Sudetów i innych „zdobyczy” Hitlera



PIES NA KOBIETY? GORZEJ LEW! Ale z drugiej strony nie ma się czemu dziwić — współczesna moda chętnie wychodzi naprzeciw takim apetytom. Spójrzmy tylko obok...



ANI SKRAWKA CIAŁA NIE WIDAC w takiej sukni ślubnej, jaką zaprezentował Michel Tellin w swej ostatniej kolekcji. Oczywiście do momentu, póki panna młoda nie stanie np. na tle okna



A TAK WIDZI KOBIECĘ znakomity artysta Juan Miro, zamieszkały stale w St. Paul na Cote d'Azur. To nie żarty — rzeźba przedstawia grecką boginię Venus, wykonaną w ceramice



„SCOPER” czyli „kangurza piłka” — nowa zabawa wymyślona w Wielkiej Brytanii. Niezbyt skomplikowana — siada się na takim balonie z uchwytami i podskakuje, i to tak, aby nie upaść

Przed 1 września godzina 4.45

HITLER podejmując decyzję napadu na Polskę przygotował równocześnie pozory, które winę za rozpętanie wojny miały w oczach świata przypisać Polsce. Wynika to niezbicie z ogłoszonych po wojnie dokumentów, wówczas jak najbardziej tajnych, ze wspomnień polityków oraz z zeznań złożonych podczas procesu głównych zbrodniarzy wojennych w Norymberdze.

Niemal do ostatniej chwili przed agresją trwały z kilku stron energiczne wysiłki dyplomatyczne, usiłujące doprowadzić do zapobieżenia katastrofie. Udział rządu III Rzeszy był w nich jedynie oszukańczą grą. Wojna była przez Hitlera postanowiona i żadne akcje w imię humanistycznych przesłanek ratowania pokoju nie były w stanie zawrócić go ze zbrodniczej drogi. Niemniej jednak, zanim doszło do zbrojnej napaści, musiał zachowywać pozory i udawać, że pragnie pokojowego rozwiązania sprawy. Kiedy sytuacja doszła do szczytowego napięcia i rząd brytyjski usiłował doprowadzić do pertraktacji między Polską a Niemcami, Hitler zapowiedział 29 sierpnia, że „Rząd Rzeszy niezwłocznie opracuje możliwe dla siebie do przyjęcia propozycje rozwiązania”.

Propozycje takie zostały rzeczywiście przez Hitlera przygotowane prawdopodobnie przed południem 30 sierpnia, Polsce ich jednak nie doręczono, chociaż na ten sam dzień rząd III Rzeszy domagał się przybycia do Berlina upoważnionego przedstawiciela Polski w celu przyjęcia propozycji. Praktycznie nie doręczono ich również później, a w Warszawie o ich ogólnej treści dowiedziano się jedynie drogą pośrednią. Nie przeszkodziło to jednak Hitlerowi oskarżać Polaków, że nie podjęli pertraktacji. Sprawa owych propozycji jeszcze dziś nie jest bez znaczenia, gdyż znaleźli się ostatnio „historycy” usiłujący obciążyć Polskę winą wywołania wojny właśnie z powodu niewyrażenia zgody na „pokojowe” dążenia Hitlera.

Zanim te propozycje omówimy, warto przypomnieć chronologiczny przebieg wydarzeń ostatnich 48 pełnych nerwowego napięcia godzin przed wojną.

ZANIM RZESZA DOKONAŁA NAPAŚCI



30 SIERPNI 1939 (ŚRODA)

godz. 1 (po północy) depesza francuskiego ministra spraw zagranicznych Bonnetta do ambasadora Francji Noela w Warszawie, zawiadamiająca go, jakoby Hitler zgodził się na bezpośrednie rozmowy z Polską;

godz. 1.30 depesza Bonnetta do ambasadorów Francji: Coulondre w Berlinie i Corbina w Londynie, polecająca, by dla zapobieżenia poważniejszych incydentom zaproponować Niemcom i Polsce obustronne wycofanie oddziałów wojskowych o kilka kilometrów od granicy;

godz. 2 ambasador brytyjski w Berlinie Henderson przekazuje swemu rządowi dodatkowe informacje o burzliwej rozmowie, jaką miał wieczorem z Hitlerem dnia poprzedniego (29 sierpnia o godz. 22.30), podczas której Hitler zażądał przybycia do Berlina upoważnionego przedstawiciela Polski. Henderson oświadczył, że takie stawianie sprawy jest ze strony Rzeszy niczym innym jak ultimatum, czemu Hitler i Ribbentrop stanowczo zaprzeczali;

godz. 2.30 brytyjski minister spraw zagranicznych Halifax depeszuje Hendersonowi, że rząd brytyjski studiuje uważnie notę niemiecką, ale że byłoby niezrozsądne przypuszczenie, iż potrafi on spowodować przybycie w ciągu dnia (30.VIII.) do Berlina specjalnego pełnomocnika Polski, którego domaga się rząd Rzeszy;

godz. 3.00 Henderson depeszuje swemu rządowi, że Szwed Dahlerus, pozostający w kontakcie z Goeringiem, podjął prywatną misję zapobieżenia wojnie i w godzinach rannych udaje się samolotem do Londynu, oraz, że dzień 30 sierpnia nie jest „absolutnie bezwarunkową datą przybycia pełnomocnika polskiego”;

godz. 3.30 ponowna depesza Hendersona do Londynu, w której ambasador relacjonuje, że miał przed chwilą rozmowę z ambasadorem polskim w Berlinie, Lipskim, który mu oświadczył, iż jego zdaniem „nie ma już żadnej nadziei”;

godz. 4.00 w berlińskim Auswärtiges Amt (ministerstwo spraw zagranicznych) zjawił się sekretarz ambasady brytyjskiej w Berlinie, Holman, który dyżurnemu urzędnikowi radcy Kordt złożył oświadczenie, że rząd brytyjski w dalszym ciągu uważnie studiuje notę niemiecką i że przybycie specjalnego wysłannika z Warszawy będzie w ciągu dnia bieżącego praktycznie niemożliwe. W godzinach rannych ambasador Henderson treść tego oświadczenia powtórzył jeszcze telefonicznie zastępcy min. spraw zagr. Rzeszy Weizsäckerowi;

godz. 9.15 przedstawiciel III Rzeszy w Rzymie, Mackenzie zawiadomił min. włoskiego Ciano o treści rozmowy Hitlera z Hendersonem dnia poprzedniego, co wystuczawszy Ciano oświadczył, iż pokojowe rozwiązanie sporu nie wydaje mu się już możliwe;

PRYWATNA INICJATYWA SZWEDA

godz. 10 Szwed Dahlerus zostaje w Londynie przyjęty przez premiera brytyjskiego Chamberlaina, min. Halifaxa i wiceministra Codogana; przedstawia on im treść swojej rozmowy z Goeringiem, z której wynika, że Hitler opracowuje nowe propozycje, które według zapewnień Goeringa będą miały „cudowny” charakter. Będzie w nich mowa o plebiscywie w „korytarzu”, jak Niemcy nazywali polskie Pomorze, zamiast natychmiastowego odstąpienia go Rzeszy, czego dotychczas Niemcy żądali, oraz, że dla przyjęcia tych propozycji powinien do Berlina przybyć specjalnie upoważniony wysłannik Polski;

godz. 10 ambasador brytyjski w Warszawie Kennard nadał telefonogram do Londynu, iż jego zdaniem nie ma możliwości wysłania kogokolwiek do Berlina; „Polacy na pewno będą raczej walczyć — donosił — i wolą zginąć, niż poddać się takiemu poniżeniu, zwłaszcza po przykładach z Austrią, Czechosłowacją i Litwą”;

godz. 10.30 depeszę podobnej treści wysłał z Warszawy do Paryża ambasador Francji;

godz. 11 ambasadorowie: Anglii i Włoch w Berlinie Henderson i Antolico postanowili nakłonić swe rządy, aby zwróciły się do Watykanu o podjęcie mediacji na rzecz pokoju. Henderson bezpośrednio do tym zajął się z tym pomysłem nuncjusza papieskiego w Berlinie Orsiniego;

godz. 12 min. spraw zagranicznych Włoch, Ciano, skontaktował się z watykańskim sekretarzem stanu, kardynałem Maglione wysuwając propozycje, które przekazał mu z Berlina Attolico;

godz. 15 poseł brytyjski przy Watykanie, Osborne, zawiadomił Londyn, że kardynał Maglione zapoznał go z tekstem wysłanym do nuncjusza w Warszawie, Cortesiego dla prezyd. Mościckiego z radą Piusa XII, by Polska w celu uniknięcia wojny zgodziła się na zajęcie Gdańska przez Niemcy i na dyskusję w sprawie „korytarza” i mniejszości narodowych;

godz. 15.45 minister Halifax polecił Hendersonowi poinformować Hitlera, że rząd brytyjski traktuje kwestię odpowiedzi na notę niemiecką jako rzecz bardzo pilną i że przysłał swą odpowiedź jeszcze dziś po południu, gorąco zaleca jednak unikania incydentów granicznych;

TERROR HITLEROWSKI W GDAŃSKU

godz. 17 gestapo aresztowało w Gdańsku dwóch przedstawicieli Polski, którzy przebywali tu na konferencji z władzami gdańskimi w sprawach kolejowych. Interwencja Wysokiego Komisarza Ligi Narodów w Gdańsku, Burchhardta, nie dała żadnego wyniku;

godz. 18.15 sekretarz ambasady bryt. w Warszawie, Hankey, wręczył w polskim MZS następującą informację: „premier Chamberlain zwrócił się z orędziem do Hitlera: 1) nota niemiecka jest pilnie rozpatrywana, 2) odpowiedź będzie dana późnie popołudniem, 3) prosi, aby wydano wszelkie instrukcje celem uniknięcia incydentów. Odnosnie pkt. 3) Chamberlain zwraca się też z apelem do rządu polskiego”;

godz. 19 przedstawiciel MZS w Warszawie składa w ambasadzie brytyjskiej oświadczenie, że rząd polski nie zamierza prowokować incydentów, ale zwraca uwagę na powagę sytuacji w Gdańsku i żąda, by Londyn nie podejmował w sprawach polskich żadnych kroków bez uzgodnienia z rządem polskim;

godz. 20.40 ambasador bryt. w Berlinie otrzymał odpowiedź szyfrowaną do przekazania Hitlerowi. Ambasador prosił o przyjęcie o godz. 22.30, Hitler jednak odpowiedział, że przyjmie go Ribbentrop.

Rozmowa doszła do skutku o
- **godz. 23.30** Ribbentrop przyjął Hendersona. Rozmowa była bardzo burzliwa: „Termin upłynął — zwrócił się Ribbentrop do Anglika — gdzie jest ten Polak, którego chciał sprowadzić pański rząd!” Henderson wręczył wtedy pismo Chamberlaina do Hitlera i zgodnie z zwyczajem począł je odczytywać. Premier brytyjski zwracał w nim uwagę na konieczność zapobiegania incydentom granicznym, wspominał, że zakomunikowano to również Warszawie, i prosił, by Niemcy zajęły podobne stanowisko. „To Polacy prowokują, a nie

my — przerwał mu Ribbentrop — zwracacie się pod fałszywym adresem”.

Z kolei Henderson zakomunikował życzenie swego rządu, by Rzesza podczas rokowań z Polską zastosowała się do przyjętego ogólnie zwyczaju i wręczyła swoje propozycje ambasadorowi polskiemu w Berlinie. Ribbentrop zawołał wtedy: „Po tym, co się stało, nie wchodzi to już w ogóle w rachubę. Żądamy, by przybył tu do Berlina upoważniony parlamentarzysta, który mógłby pertraktować w imieniu swego rządu”.

„CO PAN POWIEDZIAŁ?”

Kiedy Anglik przeszedł do punktu, w którym było żądanie wstrzymania ruchów wojsk — hitlerowiec wykrzyknął: „To jest niestychane żądanie” — po czym dodał: „Ma pan jeszcze coś do powiedzenia?”

„Tak — rząd Jego Królewskiej Mości ma wiadomość o niemieckich aktach sabotażu w Polsce!”

— To bezwstydną kłamstwem polskiego rządu — zaczął wołać Ribbentrop. — Mogę panu powiedzieć pani Henderson, że sytuacja jest diabelnie poważna.

Anglik podniósł na to palec do góry i oświadczył:

— Pan powiedział „diabelnie”. To nie jest odpowiednie słowo w ustach męża stanu w tak poważnej sytuacji.

— Co pan powiedział? — zawył hitlerowiec i zerwał się z krzesła. Henderson również podniósł się z krzesła i wydawało się, że dojdzie do rękoczynów...

PROJEKT DO WŁASNEJ WIADOMOŚCI

W chwilę później Ribbentrop wyjął z kieszeni pismo, które odczytał. Były to owe „cudowne” propozycje Hitlera pod adresem Polski, Henderson zażądał ich na piśmie. Niemiec odmówił...

Obecny przy tej rozmowie tłumacz Schmidt zanotował później w swym pamiętniku: „W owej chwili uświadomiłem sobie grę Hitlera i Ribbentropa. Te szeroko zakrojone propozycje zrobiono tylko dla zachowania pozorów... Odmowa Ribbentropa miała przeszkodzić temu, by rząd angielski przestał je Polakom...”

Pod koniec rozmowy Ribbentrop zarzucił, że Polska ogłosiła mobilizację, co Henderson zripostował stwierdzeniem, że Niemcy zrobiły to znacznie wcześniej.

31 SIERPNI 1939 (CZWARTEK)

Burzliwa rozmowa Hendersona i Ribbentropa przeciągnęła się poza północ. Jej przebieg Anglik zrelacjonował natychmiast swemu rządowi, po czym o

godz. 2 zaprosił do siebie ambasadora Lipskiego i przekazał mu niektóre szczegóły rozmowy z Ribbentropem, radził też, by ten jeszcze tej nocy zwrócił się do Ribbentropa o doręczenie mu warunków z powołaniem się na rozmowę z Hendersonem;

godz. 2. Szwed Dahlerus po powrocie drogą lotniczą z Londynu udał się do Goeringa, od którego dowiedział się, że właśnie zakończyło się posiedze-

Dalszy ciąg na str. 4

CZEŚĆ ICH PAMIĘCI!

BOLESŁAW ROMANOWSKI, komandor rezerwy, zasłużony dowódca okrętów podwodnych: „Jastrząb”, „Dzik”, „Sokół” i „Sęp” zmarł nagle w Gdyni. O tym bohaterze II wojny światowej obszernie napiszemy w następnym numerze „Tygodnika”.

Zmarł również ostatnio por. inż. **STEFAN GRODECKI**, adiutant dowódcy obrony Westerplatte.

Stefan Grodecki urodził się 25 sierpnia 1903 r. w miejscowości Niedźwiedz koło Limanowej (Krakowskie). Ukończył Politechnikę Gdańską. Podczas studiów był działaczem polskich organizacji studenckich na terenie ówczesnego Wolnego Miasta Gdańska. W 1930 r. powołany do wojska ukończył szkołę podchorążych lotnictwa w Dęblinie. W latach 1934—1939 pracował w składnicy tranzytowej na Westerplatte. Tu zastał go wybuch wojny.

Za bohaterską walkę w obronie Westerplatte został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari V klasy. Po upadku Westerplatte przebywał w Oflagu Woldenberg II C. Po powrocie do Kraju (w 1945 r.) pracował przy odbudowie portu, a następnie w Gdańskim Urzędzie Morskim.

Obronca Westerplatte — por. inż. Stefan Grodecki odznaczony był również Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotą odznaką Zasłużonego Pracownika Morza i innymi odznaczeniami.

JAN ŁAZARSKI, wielokrotny mistrz Polski w kolarstwie, jeden z najstarszych olimpijczyków, zmarł w Krakowie w wieku 76 lat. Jan Łazarzski reprezentował barwy Polski na Olimpiadzie w Paryżu w 1924 roku. Jechał w czwórce, która zdobyła srebrny medal. Ten zasłużony olimpijczyk wychował kilka pokoleń młodzieży kolarskiej, był jednym z najlepszych trenerów i wychowawców.

Cześć ich pamięci!

PKO

23, rue Taitbout — PARIS IX-ème
Tél. 824-42-02 Métro: Chaussée d'Antin
BANK POLSKA KASA OPIEKI S.A.

- Udziela wszelkich informacji osobiście, telefonicznie i odpowiada na zapytania listownie.
- Przyjmuje zlecenia z FRANCJI do POLSKI na towary PKO oraz pieniądze jako pomoc i dary dla rodzin i znajomych w Polsce. Dostawa towarów i gotówki następuje wprost do domu adresata.
- Przekazuje wpłaty na koszty podróży dla osób zaproszonych z Polski do Francji.
- Przyjmuje wkłady na oprocentowanie oraz załatwia wszelkie inne operacje bankowe
- Na żądanie wysyłamy nasze prospekty, cenniki i materiały informacyjne.

Bardzo niskie koszty, szybka i wykwalifikowana obsługa

BANK PKO S.A.
23, Taitbout PARIS IX-ème

POLSCY LEKKOATLECI DAJĄ ZNAĆ O SOBIE

Polscy sportowcy, a szczególnie lekkoatleci często sprawiają swoich kibiców o palpitacje serca, szczególnie przed wielkimi wydarzeniami. Olimpiada za pasem, konkurencja biegają setkę w 10 sekund, czołówka światowa regularnie skacze powyżej 8 m w dal, a w Polsce panowała cisza.

Teraz wreszcie, pod koniec sierpnia, można zanotować niezłe wyniki. Andrzej Stalmach nareszcie uporał się z 8-metrową granicą i ustanowił w meczu z Włochami wygranym przez Polskę 117:113 — nowy krajowy rekord 811 cm. Tym samym zdobył bilet na przelot do Meksyku. Doskonale spisali się, zarówno w tym meczu, jak i w zwycięskim spotkaniu drużynowym ze Szwajcarią w Zurychu, specjaliści od 400 m: Jan Werner osiągnął 45,8 sek., Balachowski 45,9 sek., Badeński 46,3 sek. Gredziński 46,3, sztafety w Szwajcarii 3:09,8, a w Chorzowie, gdzie z Włochami trzeba było bardzo ostro walczyć — 3:05,5.

Można bez trudu obliczyć, że czterej najlepsi zestawieni w jednej sztafecie mogliby wynik poprawić o 2 sek.,

a gdyby spotkali się w ostrej walce z Amerykanami? Trzecim mocnym punktem polskiej lekkiej atletyki stali się oszczepnicy: Nikiciuk rzucił w Zurychu 83,60 m, a weteran Sidło — 81,18 m. Ten najstarszy z polskich czynnych lekkoatletów ciągle jeszcze ma nadzieję, że na którejś z Olimpiad odniesie swój życiowy sukces. Dotychczas drogę do złotego medalu zagradzały mu pechowe przypadki. Pociągając wiadomością dla polskich kibiców lekkiej atletyki jest także rezultat 4 × 100 m mężczyzn, którzy w walce z Włochami osiągnęli 39,5 sek. Jeszcze co prawda daleko do takiego poziomu, jaki w zeszłym roku reprezentowała sztafeta francuska, ale...

Właśnie! Przed Olimpiadą w Tokio polscy kibice także narzekali, że drużyna lekkoatletyczna biało-czerwonych nie ma szans na medale, a tymczasem nawet inwalida Szmidt w cztery miesiące po operacji swego kolana stanął na podium olimpijskiego zwycięzcy. Dlatego polscy optymiści po cichu zacieraają ręce: sprinterzy coraz lepsi, sztafetom coraz lepiej się udaje, oszczepnicy regularnie rzucają powyżej osiemdziesięciu metrów... Może 800-metrowcy i „milerzy”, może po raz trzeci Józef Szmidt? A przecież jeszcze są znakomite panie, na których sukcesy można liczyć.

ZANIM RZESZA DOKONAŁA NAPAŚCI

Dalszy ciąg ze str. 3

nie Rady Obrony Rzeszy. Georing powiedział mu o 16 punktach propozycji pod adresem Polski, których odpis posiadał, zastrzegł się jednak, że ma surowy rozkaz Hitlera pokazywania go komukolwiek, na co Szwed oświadczył, że jeżeli Henderson nie otrzyma tego dokumentu, upadnie ostatnia szansa ratowania pokoju. Podobno Georing zezwolił wtedy Dahlerusowi, aby przepisał treść propozycji i rano odpis doręczył w ambasadzie brytyjskiej;

5 z 16 PUNKTÓW

godz. 5.15 Henderson ponownie zadepesował do Londynu, streszczając tak jak zapamiętał warunki, które Hitler wysunął wobec Polski, a których Ribbentrop nie chciał mu przekazać na piśmie;

„Powrót Gdańska do Rzeszy; wytyczenie jako południowej granicy „korytarza” polskiego lądu; Kwidzyn — Grudziądz — Bydgoszcz — Trzcianka; na tak ograniczonym terytorium plebiscyt przez głosowanie ludności według stanu z 1 stycznia 1918 r. z decyzją według absolutnej większości głosów; nadzór w „korytarzu” sprawowany przez komisję w składzie — Wielka Brytania, Francja, Włochy, Rosja Sowiecka; gwarancja wzajemnej swobody komunikacji z Gdańskiem i Gdynią stosownie do wyników głosowania, Gdańsk ma być miastem czysto handlowym i zdemilitaryzowanym”.

W rzeczywistości „propozycje” zawierały 16 punktów — Henderson uchwylił zaledwie 5 — były one dyktatem, przed którym Polska miała skapitulować. Według projektów niemieckich miał tę kapitulację przyjąć specjalny wysłannik z Warszawy, ulegając podobnej presji, jaką swego czasu zastosowano wobec Czechosłowacji po przybyciu do Berlina prezydenta Czechosłowacji Hachy;

godz. 8.30 radca hitlerowski MZS, Weizsäcker zawiadomił włoskiego ambasadora Antolico, że sytuacja jest tak napięta, iż wojna może wybuchnąć jeszcze dziś w południe. Włoch natychmiast przekazał tę wiadomość Hendersenowi, który zaalarmował Francuzą Coulondre'a oraz Lipskiego;

godz. 9.04 Antolico zatelegrafował do min. Ciano w Rzymie, by ten użył swego wpływu i spowodował telefon Mussoliniego do Hitlera o odroczenie wybuchu. Ciano przyjął to z dużymi wątpliwościami;

godz. 10.20 ambasador Coulondre przekazał z Berlina wiadomość o groźnej sytuacji do Paryża, wskutek czego pełny przerażenia min. Bonnet zaalarmował ambasadorów Francji w Warszawie i Londynie, aby Wielka Brytania i Francja wywarły wspólny nacisk na Polskę;

godz. 10.55 Lipski przekazał do Warszawy propozycje Hitlera w takim brzmieniu, w jakim zdołał je odtworzyć z pamięci Henderson w czasie rozmowy nocnej z Ribbentropem;

„DOBRE” RADY

godz. 11. — 11.30 ambasadę polską w Berlinie odwiedzili Francuz Coulondre, Włoch Antolico, nuncjusz Orsini i Węgier Sztolay doradzając Polsce uступliwość wobec Niemiec dla ratowania pokoju;

godz. 10.30 Henderson zawiadomiał Weizsäckera, że wywiera nacisk przez Lipskiego na Warszawę;

godz. 11 urzędnik ambasady brytyjskiej w Berlinie, Ogilvie-Farbes przeprowadził do ambasady polskiej Szweda Dahlerusa i przedstawił go Lipskiemu, Szwed miał przepisać prywatnie 16 punktów „propozycji”;

godz. 11.42 depesza Lipskiego do Warszawy: „Coulondre powiedział mi, że wiadomości Hendersona, jakoby Niemcy zdecydowane były czekać tylko do godz. 12 (w południe) pochodzą z otoczenia Ribbentropa. Coulondre uważa, że ewent. po 12, w myśl naszej odpowiedzi Rooseveltowi i rządowi angielskiemu, można podać rządowi Rzeszy, że ambasador w Berlinie jest zawsze do dyspozycji rządu niemieckiego. Byłby to gest na rzecz pokoju. Oczywiście taki mój krok mógłby być przez Niemców propagandowo wykorzystany w sensie naszej uступłości”;

godz. 12 w Warszawie Beck przekazał ambasadorowi brytyjskiemu Kennardowi oświadczenie, że zgadza się na podjęcie rokowań z Niemcami poprzez swego ambasadora w Berlinie, po czym to samo przetelefonował p. Noel, ambasadorowi Francji;

godz. 12.40 — Hitler zawiadomił naczelne dowództwo, że **agresja na Polskę ustalona planem „Fall Weiss” ma się rozpocząć nieodwołalnie 1 września o godz. 4.45;**

godz. 12.42 Lipski otrzymał od Becka instrukcję w sprawie zgłoszenia się u ministra spraw zagr. Rzeszy lub podsekretarza stanu i złożenia mu oświadczenia, że rząd polski otrzymał w nocy od rządu brytyjskiego informację co do możliwości

bezpośredniego porozumienia się rządu polskiego z rządem Rzeszy;

godz. 13 Lipski w myśl instrukcji Becka poprosił o audiencję u Ribbentropa;

godz. 15 (a więc po dwóch godzinach) Ribbentrop polecił Weizsäckerowi zapytać Lipskiego telefonicznie, w jakim zgłasza się charakterze: czy jako upoważniony delegat rządu z całkowitymi pełnomocnictwami? Lipski odpowiedział, że jako ambasador mający złożyć oświadczenie swego rządu rządowi Rzeszy. Weizsäcker oświadczył, że przekazuje to Ribbentropowi.

godz. 17.00 Włoch Antolico zawiadomił Ribbentropa, że zdaniem rządu włoskiego minister III Rzeszy powinien przeprowadzić rozmowę z ambasadorem polskim i równocześnie poprosił o treść warunków, jakie Rzesza wysunęła wobec Polski, których jednak nie otrzymał;

godz. 18.15 Weizsäcker zawiadomił Lipskiego (po przesłaniu pięciu godzinach), że Ribbentrop zdecydował się go przyjąć;

godz. 18.30 krótka rozmowa Ribbentropa z Lipskim, według relacji Lipskiego przekazanej do Warszawy;

„Ribbentrop zapytał, czy mam pełnomocnictwa do traktowania. Odpowiedziałem, że nie. Ribbentrop zapytał, czy jestem poinformowany, że na sugestie Londynu rząd niemiecki wyraził zgodę bezpośrednio z nami traktowania z upoważnionym delegatem, który miał przybyć wieczorem. Odpowiedziałem, że informacje moje są pośrednie. Ribbentrop na zakończenie powiedział, że myślał, iż będę upoważniony do traktowania. Zakomunikuje moje wystąpienie kanclerzowi”.

OSTATNIE GODZINY POKOJU

godz. 20.50 Niemcy dokonali sfingowanego napadu na własną radiostację w Gliwicach. Napastnicy ubrani byli w mundury żołnierzy polskich. Napad był potrzebny Hitlerowi, by mógł następnego dnia ogłosić, iż to Polska pierwsza dokonała zbrojnego naruszenia granic Rzeszy;

godz. 21 radio Berlin ogłosiło komunikat o 16 punktach porozumienia zaproponowanych Polsce przez Hitlera jako wyraz dobrej woli Niemiec do rokowań. O tym, że Niemcy oficjalnie propozycji tych nigdy Polsce nie przekazał, nie było ani słowa. Ich pełny tekst stał się społeczeństwu polskiemu znany dopiero po wojnie w dniach procesu norymberskiego;

1 września godz. 4.45 zgodnie z rozkazem Hitlera, wydanym dnia poprzedniego w południe, armie niemieckie napadły na Polskę z północy, zachodu i południa, bombardując równocześnie miasta polskie z powietrza.

LISTY DO REDAKCJI

FRANCUZI LUBIĄ DO POSILKÓW PIĆ WINO

Francuzi i Polacy mieszkający od kilkadziesiąt lat we Francji przyzwyczajeni są do picia lekkiego wina do posiłków. Brat mój, który już raz spędził urlop w Polsce, był bardzo zadowolony ze swego pobytu w Kraju, niemniej wina do posiłków mu bardzo brakowało. Proponuję więc, żeby stworzyć wyjeżdżającym na urlop do Polski możliwość zaspokojenia ich przyzwyczajeń w ten sposób, by można było wpaść tu, w Paryżu, w Banku PKO pieniądze, a w Kraju otrzymać lekkie, francuskie wino.

Takie załatwienie sprawy przez Bank PKO na pewno by wielu ucieszyło i zadowoliło.

Stefania URBANIAK
GONESSE

WSZYSTKIE BARWY OJCZYZNY



A oto uroczą wiślankę, Pojdowną. W tyle Adam Niedoba, który od lat 20 prowadzi zespół regionalny „Wisła” — znany miłośnikom folkloru

Dużo radości miały młode panie, uczestnicząc w charakterze widzów i słuchaczek w Tygodniu Kultury Beskidzkiej. Szczególnie przypadły im do gustu przyspiewki Zuzanny i Jana Kukuczków z Koniakowa. Kukuczka umie nadto pięknie „bajać”



Grupka tych dziewcząt nie leniąc się wyszła na pagórek, który nazywa się Halamówka, by na tle pięknej panoramy Wisły dokonać „historycznego” zdjęcia. Wszak w tym samym gronie prawdopodobnie nie spotkają się tu. Choć koleżanka Sywia Ziemiak jest dobrej myśli. Chce tu wrócić w przyszłym roku

Na tle beskidzkich groni



Uf, ależ to wysoko, zwłaszcza gdy trzeba dźwigać ze sobą kocy. Ale jakże przyjemnie wygrzewać się w beskidzkim słończku. A jaki potem apetyt!

Ostatnie przygotowania do opalania. Nie zaszkodzi przy tym skorzystać z wypróbowanych polskich olejków. Nikt nam tu nie będzie przeszkadzał. Jedynie wiatr, który orzeźwia i przyjemnie chłodzi rozpaloną słońcem skórę



WISŁA na Śląsku Cieszyńskim, uroczą miejscowość położona u stóp Beskidu Zachodniego, należy do tych obszarów Polski, na których w okresie powojennym dokonały się tak olbrzymie zmiany, że trudno byłoby wszystkie określać, porównując z dawnymi, przecież nie najdawniejszymi czasami. W ciągu dwudziestu czterech lat Wisławie, przeobraziła się w Wisłę-osiedle, by stać się autentycznym miastem.

Miasto zachowało cechy świeżości i swojskości. Nie zatracił się „pod groniami” oryginalny folklor, mimo że obok stałych mieszkańców przebywa tu w okresie całego roku mnóstwo gości, szukających spokoju, wytchnienia, radości obcowania z naturą. Wisła może w miniaturze ilustrować to, co można zauważyć na terenie całego Kraju: dynamiczny wzrost budownictwa, rozwój placówek usługowych, poszerzenie sieci komunikacyjnej, budowa nowych dróg i autostrad, a przy tym nie zapomniano i o tych treściach, które wiążą się z duchowymi potrzebami człowieka, a przejawiających się w działalności kulturalnej i oświatowej. Mocnym dorocznym akcentem tej działalności jest Tydzień Kultury Beskidzkiej, odbywający się tradycyjnie w sierpniu.

W tej to Wiśle (dzielnica: Głębcze) znajdował się Obóz Polonii Zagranicznej. Gdy zbliżałem się do szkoły, w której mieszkały przez okres wakacyjny dziewczęta polskie z Belgii i Francji, owdolęto mną dziwne uczucie. Oto za chwilę będę rozmawiał z najmiłszymi gośćmi, młodymi ludźmi, którzy wychowani w obcych warunkach w większości znają Polskę zaledwie z opowiadań rodziców. Sporo z nich zatraciło przecież żywsze związki ze „Starym Krajem”, jak się często jeszcze na emigracji nazywa ziemię ojców. Jaki wizerunek Kraju rysuje się w młodych umysłach? Jakim językiem przemawiać do wyobraźni tej gromady radosnej, a tak nieświadomej przemian, które dokonały się w naszym Kraju? Jak utrwalac w młodych sercach, pełnych jeszcze wzruszeń pierwszego zetknięcia się z nowymi warunkami, te treści, które kształtują rzetelny obraz naszego Kraju?

kierowniczką kolonii, panią Jolantą Nieciecką, przekonuję się, że sprawy, które mnie nękają, są też troską kierownictwa.

— Chcemy — zapewnia mnie — aby nasi goście nie tylko odpoczęli, nie tylko zażywali rozkoszy związanych z pobytem w górach, ale aby także uczyli się Polskę, aby poznawali wszystko, co kojarzy się z obrazem ojczyzny ich ojców.

Przyczyniają się do tego m.in. wycieczki po Polsce. Blisko pięćdziesięciosobowa grupa dziewcząt polskich z Francji i Belgii zwiedziła w towarzystwie swoich polskich koleżanek i wychowawczyń Warszawę, gdzie przebywały cztery dni, poznając m.in. Wilanów, zwiedzając miejsca zabytkowe, a także nowoczesne dzielnice mieszkaniowe. Były nadto na różnych imprezach oraz wzięły udział w niezapomnianej przejażdżce po Wiśle. Nie mniej uroczą była wycieczka do Zakopanego, Sosnowca czy też do Krakowa i Wieliczki, a także do Ojcowa. Niezatarcie i wstrząsające wrażenie pozostawiła wycieczka do Oświęcimia. Te wszystkie etapy poznawania Polski utrwały w młodych umysłach prawdziwy obraz Kraju, przeżyty, ugruntowany w świadomości, poszerzający wyobraźnię.

Słońce beskidzkie po dniach deszczowych zapanowało niepodzielnie na niebie. Siedzę w grupie dziewcząt polskich z Francji i Belgii, dyskutując o sprawach, które są naszymi wspólnymi sprawami: polskimi sprawami. Rozmawiamy na przemian o rzeczach

Dokończenie na str. 6-7

Na tle beskidzkich groni

Dokończenie ze str. 5

wielkich i drobnych. Mówimy nawet o polskiej kuchni, którą wszystkie dziewczęta są zachwycone. Pani ANNA KAŁUZA umie dogodzić podniebniom swoich podopiecznych. Od kuchni przechodzimy do podróży po Kraju i do kulinarnych doświadczeń na trasie. A potem trwa gawęda o budownictwie i o tym, czym która z moich rozmówczyń ma zamiar być w przyszłości.

KLAUDIA ZAWADA z Noyelles koło Lens ma zdecydowane postanowienie. Jest miłą osobą, której przyszły zawód zdaje się

być dobrze zsynchronizowany z całą jej postawą: będzie wychowawczynią. SYLWIA ZIEMNIAK pochodząca też — podobnie jak większość jej koleżanek z okręgu górniczego Francji, poświęci się wychowywaniu dzieci o zaburzeniach rozwojowych. Patrząc w jej jasne, roziskrzane oczy i zastanawiam się, ile zachowa z tej radości, która w nich błyszczy, gdy na co dzień zetknie się z tym szlachetnym, lecz trudnym zawodem. JOASIA DUDENKO marzy o chirurgii. Przyznam się, że inaczej ustawiałem moje rozmówczynie w przyszłych ich zawodach. Niektóre robią wrażenie sympatycznych trzpiotów, którym odpowiadałby może lepiej zawód aktorek, choć rzystek, gdzie jest więcej uśmiechu, więcej słońca, a mniej obciążeń natury psychicznej, które łączą się z wypełnianiem obowiązków względem chorych czy dzieci potrzebujących specjalnie czułej opieki.

NADINE, to chyba NADZIA, LEMAŃSKA z Rubaix ma już swój zawód, pracuje w przedsiębiorstwie. I ona, jak inne, cieszy się Polską

i jak wszystkie pragnie tu znowu przyjechać.

— Zostawiłam w Polsce kawał serca — wyznaje i zawsze myślami będę powracać do Kraju, który znałam do tychczas jedynie z opowiadań rodziców.

Wychowawczyni, pani ANNA JEŻAK, nie żali się na to, że dziewczętom trzeba wiele spraw wyjaśniać. Czyni to chętnie i cierpliwie.

— Ogłosiliśmy — informuje — m.in. konkurs na temat Warszawy. Nagrody otrzymają nie tylko dziewczęta z Francji i Belgii, ale i te z towarzyszących im koleżanek z Polski, które najlepiej przygotowały swoje podopieczne do tego oryginalnego egzaminu. Uczymy nasze młode panie — dodaje — także tańców regionalnych. Wszystkie też chodzą na imprezy związane z Tygodniem Kultury Beskidzkiej. Poznają wszystko, co jest Polską, i nie ukrywają — co jest zjawiskiem dodatnim — również uwag krytycznych. W tym przejawia się ich troska, aby w Polsce było wszystko najlepsze, czym można byłoby się pochwalić we Francji i w Belgii.

Przerywam miłą zabawę w kometkę dziewczętom z Belgii: IRE-

NIE PIETLICKIEJ i WANDZIE KOŁODZIEJ. Są rozbawione, ale chętnie rozmawiają. Przebywają po raz pierwszy w Polsce i patrzą szeroko otwartymi oczyma na wszystko, co się wokół nich dzieje, co je otacza. Limburgia niewiele przypomina im polski krajobraz. A jednak coś głęboko zarysowało się w ich sercach, co trudno wypowiedzieć, a co wyraża się całą postawą tych skromnych dziewcząt. Z Belgii jest ich dziękowność, ale — gdyby było można — przyjechałoby znacznie więcej.

Gdy będziecie czytać te wakacyjne reminiscencje z Polski, zapewne wrażenia dziewcząt nabiorą z oddalenia nowych blasków. Zatrą się we wspomnieniach rzezy może mniej wesołe, a nabiorą ostrości te doznania, które sprawiły, że wakacje w Polsce były nie tylko wielkim przeżyciem emocjonalnym. Nie tylko pozwoliły zregenerować siły, ale pozwoliły odnaleźć nowe, nieznanne kształty ojczystego Kraju.

Tekst: Władysław OSZELDA
Zdjęcia: Stanisław RZEPA

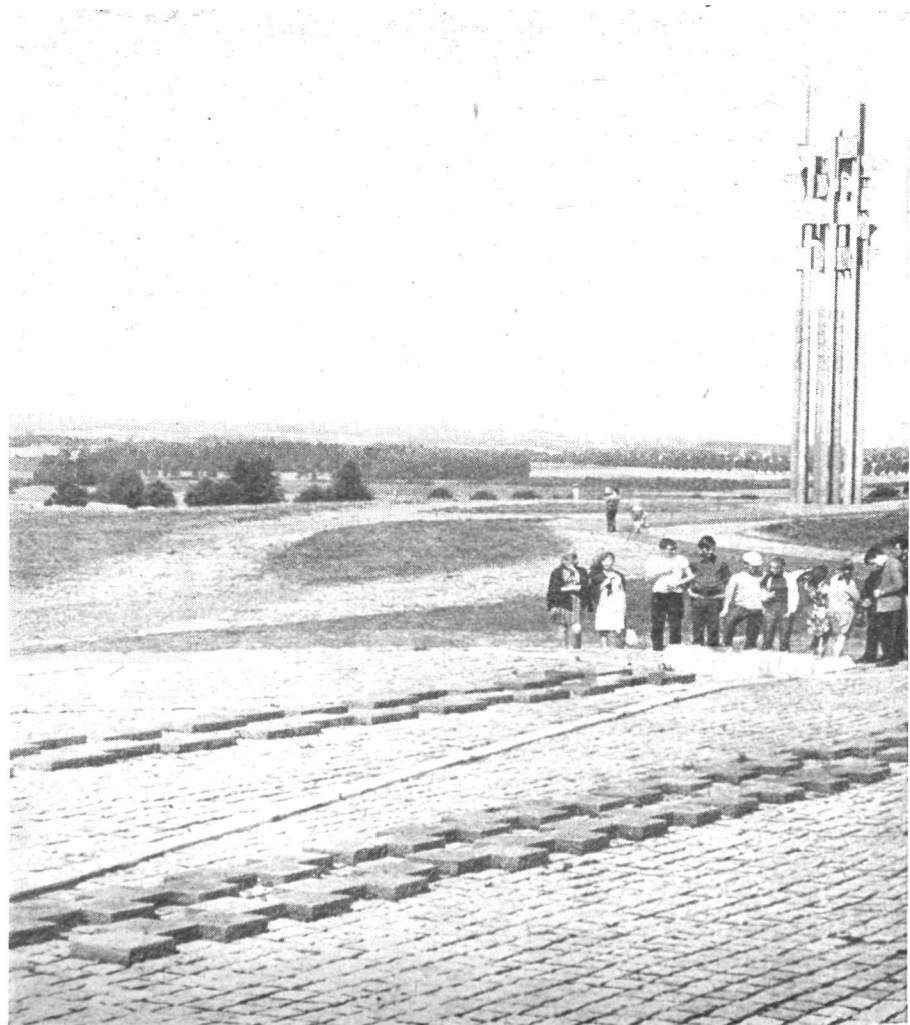


Wycieczki. W Parku Etnograficznym w Olsztynku przywitał gości wiatrak

Czas na taniec. Poloneza wiodą: G. Ptak, A. Ruta, J. Zaręba i A. Domagała



NA MAZURSKO- WARMIŃSKICH SZLAKACH





Pierwsze spotkanie z Olsztynem — przed planem miasta



Młodzież odwiedzali przedstawiciele władz wojewódzkich oraz szkolnictwa. Oto spotkania z M. Ałłasem i P. Sikorą



Byli na Polu Grunwaldzkim, gdzie w 1410 r. rozegrała się wielka bitwa między wojskami polskimi i krzyżackimi, zakończona pamiętnym, historycznym zwycięstwem Polaków



Niezapomniane były chwile spędzone nad pięknym jeziorem Krzywym w pobliżu Olsztyna



W plenerze humor i apetyty dopisywały całej gromadzie, często brano obfite „dokładki”



M. Rynkiewicz z Francji i J. Czerwińska z Polski stały się nierozłącznymi przyjaciółkami

W OLSZTYŃSKIM Technikum Elektrycznym przy Alei Zwycięstwa umieszczono obóz młodzieży, w którym uczestniczyło 120 osób, w tym 90 dziewcząt i chłopców z Francji oraz 30 z Kraju. Dla wielu dziewczyn i kolegów z Francji był to w ogóle pierwszy pobyt w Kraju rodziców czy dziadków, ale i ta młodzież, która już poprzednio miała okazję bawić w Polsce, poznała teraz piękne okolice, o których niewiele albo nic dotąd nie wiedziała. Program obozu tak był bowiem pomyślany, że wszyscy uczestnicy zwiedzili dokładnie Wybrzeże Gdańskie — Gdańsk, Gdynię, Oliwę, Sopot i Władysławowo, pływali statkiem po przepięknych Jeziorach Mazurskich; poznali także pole bitwy pod Grunwaldem oraz Park Etnograficzny w Olsztynku, kopernikowski Frombork nad Zalewem Wiślanym, w którym wielki astronom dokonał genialnych odkryć, oraz Lidzbark Warmiński, rezydencję „księcia poetów” — biskupa Ignacego Krasickiego. Przebywając na Wybrzeżu młodzież złożyła wieńce pod pomnikami bohaterskich obrońców Westerplatte.

Wycieczki były przyjemnością, a równocześnie lekcją historii Polski oraz poznaniem życia jej sławnych ludzi. Uczestnicy obozu przekonali się, jak żyją ludzie w Polsce, jak wyglądają polskie fabryki, szkoły, nowo zbudowane dzielnice miast i miasteczek. Szczególną okazję dostarczył ku temu Olsztyn — stolica Warmii i Mazur, ziemi odzyskanej po wielu latach pruskiej niewoli. Do 1939 roku było to miasto 40-tysięczne, dziś liczy już prawie 100.000 mieszkańców. Młodzież bardzo interesowała się olsztyńską Wyższą Szkołą Rolniczą, w której studiuje ponad 3.000 studentów. Dużą atrakcją był też dla niej „Harcerski Lipiec Muzyczny”, podczas którego młodzież harcerska z całej Polski popisywała się koncertami.

Oczywiście każdy z uczestników wyniósł z Polski własne najmiłsze i najpiękniejsze wrażenia. Oto garść wypowiedzi na ten temat.

HELENKA JĘDRZEJAK z Mouroux:

— Najbardziej podobały mi się nowe dzielnice mieszkaniowe w Olsztynie. Widzę, że w Polsce wiele się buduje, słyszałam zresztą o tym od tatusia, który mówi mi zawsze, że nie poznałby tych miejsc, w których bywał jako młody chłopiec. Moi rodzice wyemigrowali z Polski przed wojną.

MARYLA RAJSKA z Metz podzieliła zdanie koleżanki:

— Jestem zachwycona przede wszystkim Gdańskiem, z ogromną przyjemnością oglądałam

tam Stare Miasto. Wiem, że po wojnie z tych starych kamieniczek pozostały tylko ruiny, podziwiałam ich odbudowę. Są przecież nowe, a wyglądają tak, jak przed wiekami...

ANIA ZUCHOWICZ z Carspach interesowała się przede wszystkim olsztyńską Wyższą Szkołą Rolniczą:

— Chciałabym po ukończeniu liceum przyjechać na studia do Polski. Jakże należy zatłoczyć formalności, do kogo się zwrócić?

ANDRZEJ i **JAN WYPYCHOWIE** z Wasquehal zachwyceni są przede wszystkim olsztyńskim regionem, zwanym krainą tysiąca jezior. Andrzej był już w Polsce, jego o rok młodszy brat, Janek, oglądał Kraj po raz pierwszy. Nic też dziwnego, że stwierdził:

— Takich jezior nigdy jeszcze nie widziałem...

Również po raz pierwszy w Polsce była **MICHELE RYNKIEWICZ** i jej siostra-bliźniaczka, **FRANCINE**, z Gieraumont. Michelle:

— Nie przypuszczałam, że ziemia mego ojca jest taka piękna, że tacy mili ludzie, tak serdeczne koleżanki.

JACQUES MARCINIAK z Houdain ma inne zainteresowania:

— Jestem zachwycony polską kuchnią. Zawsze brałem dolewkę, smaczne są lody, a jakże ciastka...

Jackowi nie można się dziwić, apetyt na świeżym mazurskim powietrzu szczególnie mu dopisywał. Ma dopiero 15 lat, 185 cm wzrostu a waży... 90 kg.

Na zakończenie pobytu uczestnicy obozu złożyli jeszcze wizytę w stolicy Polski — w Warszawie, a na spotkaniu z przedstawicielami społeczeństwa olsztyńskiego **MARYLKA RAJSKA**, dziękując w imieniu koleżanek i kolegów zapewniła ich:

— Bardzo jesteśmy szczęśliwi, że mogliśmy poznać piękno i bogactwo polskiej ziemi. Wszędzie towarzyszyła nam troskliwa opieka i szczerą przyjaźń. Pragnęlibyśmy przyjechać tu i w przyszłym roku.

Tekst:
Zofia DUDZIŃSKA

Zdjęcia:
Kazimierz DĄBROWSKI





PRZED 50 ROCZNICĄ POWSTANIA WIELKOPOLSKIEGO

Z WESTFALII DO POZNANIA

— W Wigilię Bożego Narodzenia 1918 roku wróciłem z wojska do domu. Rodzina moja mieszkała w Bochum. Jako obywatel niemiecki wcielony zostałem do armii niemieckiej, tak jak wielu innych Polaków. Dopiero zakończenie wojny wyzwoliło mnie z tej sytuacji. W całych Niemczech panowały wtedy nastroje rewolucyjne. W polskich kołoniach także odczuwano się wielkie podniecenie. Po paru dniach rozszła się wiadomość, że w Poznaniu wybuchło powstanie, że Ignacy Paderewski jest w Wielkopolsce. Postanowiłem od razu, że pojedę. Wień młodych ludzi z Westfalii podjęło tę samą decyzję. Nie chcieliśmy, żeby wyzwalanie Wielkopolski spod niemieckiej niewoli odbywało się bez nas.

P. Antoni ZALISZ jest dzisiaj już starym człowiekiem. Wspomnienia z tamtych lat zachował jednak wiernie w pamięci, opowiada je chętnie i nawet postanawia je spisać.

Nie było łatwo przedostać się z Westfalii do Wielkopolski. Aby nie zwracać na siebie uwagi, jechał p. Zalisz w mundurze niemieckiego żołnierza. Dotarł tak do Berlina. Później zaczęły się trudności. Pociągi były przepełnione ludźmi, na stacjach widziało się mnóstwo cywilów i wojskowych. Niektórzy byli w mundurach armii rosyjskiej; Polacy w rosyjskich mundurach stwarzali sztuczny tłok i za ich plecami pan Antoni ukrywał się skutecznie przed kontrolującymi Niemcami.

W pociągu, który wioził p. Zalisza do Polski, odbywały się bezustannie kontrole. Za Berlinem zrobiło się jeszcze niebezpieczniej. Frankfurt nad Odrą, Zbąszyń — no i jakoś udało się. Polacy w rosyjskich mundurach stwarzali sztuczny tłok i za ich plecami pan Antoni ukrywał się skutecznie przed kontrolującymi Niemcami.

Nareszcie weszła do pociągu grupa żołnierzy w niemieckich mundurach wprawdzie, ale ze wstążkami biało-czerwonymi. Odczułem takie wzruszenie, że nie mogłem słowa wymówić. Byłem więc w Polsce i patrzyłem na polskich żołnierzy!

W Poznaniu zaciągnął się p. Zalisz natychmiast do wojska. Ponieważ w armii niemieckiej zapoznał się ze służbą łączności, był teraz bardzo cennym żołnierzem dla nowo organizowanych polskich oddziałów.

Z fortu Winiary w Poznaniu skierowano go do Nowego Tomyśla, a wkrótce potem pod Zbąszyń. Kompanie łączności zajmowały się naprawą uszkodzonych linii, zakładaniem nowych linii, podłuchem central niemieckich.

Przez parę miesięcy praca ta trwała na terenie całej Wielkopolski, przerywana co pewien czas walkami z oddziałami niemieckimi.

Podczas jednego z dłuższych pobytów w koszarach w Poznaniu przeszedł p. Zalisz wraz ze

swymi kolegami przeszkolenie bojowe. Po jego zakończeniu wysłano ich kompanię pod Bydgoszcz.

— W ostatnich dniach pobytu w Poznaniu otrzymałem najpiękniejszą nagrodę, jaką mogłem sobie wymarzyć. Byłem w teatrze na polskiej sztuce „Szevec Kiliński”. Nie zapomnę tego wieczoru do końca życia. No i wreszcie walki pod Bydgoszczą. Już ostatnie. Gotymi rękoma zdobywaliśmy dwie armaty. Zasilili one baterię lekkiej artylerii 10 pułku piechoty, którym dowodził pułkownik Kopa. W tym pułku spotkałem mego kuzyna z Ostrowca, który również zaciągnął się jako ochotnik. Potem zdobyliśmy jeszcze dużo sprzętu wojennego od Niemców. Walki pod Bydgoszczą przeciągały się, miasta nie mogliśmy zdobyć. Byliśmy przygotowani na to, że będą one trwały dalej, że nie przestaniemy walczyć z Niemcami. Niestety, ściągnięto nas spod Bydgoszczy i cały pułk przerwany został do Lwowa.

Dalsze swe losy opowiada p. Zalisz z rozczarowaniem. Wrócił wprawdzie na pewien czas jeszcze do Poznania wraz z 7 kompanią łączności, ale na krótko. Potem wysłany został do Wilna i na front białoruski.

— Wszyscy Poznaniacy, Pomorzanie, Ślązacy byli przeciwni Piłsudskiemu i nie chcieli wyprawy kijowskiej. Tylko legionści wpatrzyli się w swego komendanta i mówili z zachwytem: nasz Dziadek. Myśmy chcieli walczyć z Niemcami!

W Bochum tymczasem rodzina p. Antoniego Zalisza zaczęła być niepokojona przez Niemców. Zwrócono uwagę na nieobecność syna, okrzyczano go „zdrajcą Vaterlandu” i dopiero kiedy wojska francuskie wkroczyły do Nadrenii, zapanował spokój.

W następnych latach pracował p. Zalisz jako drukarz w różnych miastach. Czasami spotykały go przykrości i szykany. Niektórzy ludzie posuwali się tak daleko, że twierdzili, iż p. Zalisz nie jest Polakiem, bo mówi po polsku z akcentem obcym. Wszystko to zniechęciło go. Postanowił wyjechać z Kraju.

Przyjechał wraz z rodzicami do Bully-les-Mines. Optował za Polską i nadal pracował w polskich drukarniach. Ostatnią z nich, której pozostał wierny do r. 1958, była drukarnia „Gazety Polskiej”.

P. Antoni ZALISZ, którego wspomnienia zamieszczamy powyżej, prosi o ułatwienie mu odszukania jego dawnych współtowarzyszy broni z grupy łączności, którą dowodził porucznik Sporny oraz z 7 kompanii łączności, którą dowodził por. Kolański. Kuzyni p. Zalisza, którzy wraz z nim zaciągnęli się ochotniczo do armii polskiej w okresie Powstania Wielkopolskiego, zostali wymordowani przez hitlerowców w r. 1939.

NAJWIĘKSZA WIOSKA WARSZAWA

Z WIEDZĄ o Polsce i Polakach bywa na szerokim świecie różnie. W Europie ludziska najczęściej znak PL na samochodzie identyfikują z ... Portugalią. Podobnie Brazylijczycy chętnie umieszczają Wisłę z drugiej strony Uralu. W czasie mego pobytu na Alasce tamtejsi Eskimosi brali mnie za pobratymca, bo ich zdaniem w Polsce okrągły rok musi być bardzo zimno. Ich przeświadczenie wynikało oczywiście z nazwy naszego kraju w języku angielskim (Poland), co kojarzyło im się ze słowem „Pole” oznaczającym w tymże języku bliski Eskimosom biegun.

Nie wszędzie jednak było tak źle. Nawet na wspomnianej Alasce.

Do wsi Tyonek poleciliśmy z Anchorage nad wąską Zatoką Cooka. Wieś była do niedawna rezerwatem, od kiedy jednak na Alasce odkryto ropę naftową, jej mieszkańcy stali się milionerami. Zaraz po wylądowaniu ruszyliśmy na poszukiwanie wodza wioski.

W mojej wyobraźni, karmionej przez tyle lat piórem Fenimore Coopera i Curwooda, postać wodza jawiła się od razu w skórzanych portkach i tomahawkiem w rękę. Mój wyimaginowany wódz z Tyonek miał orli nos, wyniosłą postawę i palił kamulek czyli fajkę pokoju. Zastanawiałem się też, jak dawno ten pogromca grizzly zszedł ze ścieżki wojennej z bładymi twarzami. Ostatecznie mój skalp nie był jeszcze przerzedzony, a indiański tomahawk, zwłaszcza z Indianinem na końcu, jest bronią groźną.

Kiedy odnaleźliśmy wreszcie wodza, jęknęła ze zgrozą moja wyobraźnia. Wódz wioski Apaczów miał na sobie zwykłe dżinsy, a w rękę trzymał zwykły komplet kluczy samochodowych... Zapytał mnie też od razu, jak mi się podoba Alaska i zaprosił do piętrowego wigwamu z telewizyjną anteną na dachu. Cały czas bawił mnie rozmową w nienagannej angielszczyźnie. W pewnej chwili zakrzusiliem się potężnie podaną gościnnie oranżadą. Otóż wódz wioski Tyonek mr. Kaola Junior zapytał mnie po prostu... jak przebiega odbudowa Warszawy.

Okazało się, że wódz nie tylko wiedział dokładnie, gdzie leży Polska, ale znał nawet nieco historię naszego Kraju. Wiedzę tę zawdzięczał wódz swojej siostrze, która wyszła za mąż za Europejczyka, bodajże — Czecha.

TAK SIĘ ZŁOZYŁO, że mniej więcej dwa lata po powrocie z Alaski znalazłem się w australijskiej części Nowej Gwinei, najbardziej górzystej wyspie świata — krainie, o której zapomniał czas. Tam właśnie w roku 1933 odkryto dolinę zamieszkałą przez kilkadziesiąt tysięcy ludzi, którzy pierwszy raz ujrzeli białego człowieka. W dolinie tej istnieje dziś osiedle o nazwie Mount Hagan wyposażone w lotnisko.

Patrzyłem właśnie jak wyladowywano mój bagaż z niewielkiego samolotu, kiedy moją uwagę zwrócił 13-letni może chłopiec. Jego szczupłą figurkę okrywały resztki sortów, a prawą nogę zdobił olbrzymi but, którego właścicielem musiał być niegdyś dwumetrowy chyba chłop. Chłopiec podązał za mną wzrokiem, mimo że było kilku innych pasażerów. „Może blondyna jeszcze nie widział” — myślałem zaintrygowany nieco czekoladowym chłopcem obdarzonym przez naturę gęstą, mocno skręconą czupryną.

Kiedy wypadło mi nieco poczekać jeszcze na resztę bagażu, stanąłem obok malca i zapytałem go o imię.

— Olulo — padła odpowiedź, połączona z pytaniem, czy przyleciałem z Australii. Chłopiec mówił zupełnie znośnie po angielsku.

— Nie, chłopcze, przyleciałem z daleka, z Polski.

— Ooo! — zadziwił się Olulo.

— Teraz ja byłem zaintrygowany.

— Wiesz, gdzie jest taki kraj?

— Wiem, w Europie, między Niemcami i Rosją. Największa wioska w Polsce nazywa się Warszawa — recytował Olulo.

Oslupienie odebrało mi mowę.

Później się wyjaśniło, że Olulo zawdzięcza swoje wiadomości jednemu z siedmiu polskich misjonarzy, którzy pracują aktualnie w Nowej Gwinei.

Janusz WOLNIEWICZ

● SPRAWY I LUDZIE ● SPRAWY I LUDZIE ● SPRAWY I LUDZIE ● SPRAWY I LUDZIE ●

WŚRÓD WETERANÓW — PAWEŁ POZIEMSKI

DZIENNIK „Nord-Eclair” i „Croix du Nord” wprowadziły interesującą rubrykę, prezentującą weteranów. Wśród nich znalazł się ostatnio Polak — p. Paweł Poziemski — przewodniczący sekcji francuskiej Federacji Kombatantów Alianckich w Europie oraz przewodniczący byłych kombatantów polskich we Francji ZUPRO. W rubryce „Nord-Eclair” czytamy o wielkich zasługach p. Pawła Poziemskiego w okresie ostatniej wojny, które potwierdzają liczne wysokie odznaczenia, jak m.in.



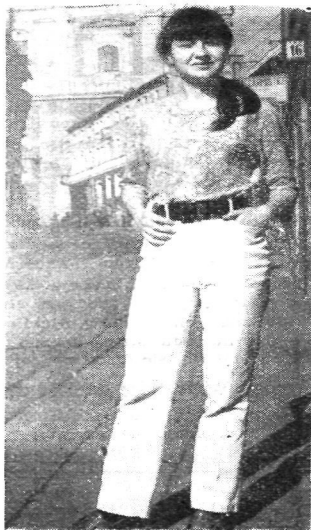
francuski „Croix de Guerre”, polski krzyż „Polonia Restituta”, odznaczenia amerykańskie, angielskie, belgijskie, holenderskie itp. Obecnie — czytamy w „Nord-Eclair” — p. Paweł Poziemski wiernie i ofiarnie służy sprawom kombatantów, pozostał skromny i uczynny.

Bardzo nam miło przeczytać tyle pochlebnych słów o Polaku. Serdecznie gratulujemy.

Na zdjęciu p. Paweł Poziemski.

foto. „Nord-Eclair”

BRAWO! ANNIE!



ANNIE PASZKO z Paryża ma lat dwadzieścia dwa. Urodziła się we Francji. Rodzice jej przed wojną opuścili Polskę w poszukiwaniu chleba.

Annie jest drobną, czarownicą dziewczyną. Mówi po polsku jak rodowita warszawianka. Nic dziwnego. W domu mówi się ojczystym językiem i kultywuje tradycje polskie. Annie po skończeniu szkoły średniej studiowała na Sorbonie literaturę i język polski oraz rosyjski. Ponadto w szkole wieczorowej uczy się angielskiego i niemieckiego. „Trudno to wszystko razem pogodzić — mówi z ujmującym uśmiechem — ale skoro chce się do czegoś w życiu dojść, trzeba się pomęczyć”.

Na wakacje Annie zawsze stara się jechać do Polski. Ma tam wielu przyjaciół. Chodzi z nimi do teatru, na koncerty, stara się poznać Kraj jak najdokładniej. Nie rozporządza kapitałami pozwalającymi na luksusy. Przyjeżdża więc z grupami dzieci Polonii francuskiej, jest wychowawczynią na koloniach. W ubiegłym roku zawiązała polonijną młodzież do Bardo Śląskiego w woj. wrocławskim, była też na Wybrzeżu. W tym roku też pojechała z młodzieżą do Bardo Śląskiego.

Annie pogodnie, lecz stanowczo kieruje dziećmi. Cierpliwa i wyrozumiała — ta młoda dziewczyna dba o dzieciaki jak doświadczona mama. Brawo, Annie!

PISZCZKOWIE i TRĘBACZE

PRZEZ DZIESIĄTKI LAT utrzymywało się błędne mniemanie, że z wyjątkiem paru mistrzów Polacy niewiele mieli do powiedzenia w malarstwie średniowiecza, renesansu i baroku. Tymczasem badania ostatnich lat wykazały, że malarstwo i rzeźba polska stały przez stulecia na poziomie europejskim.

Podobnie nie znano niemal dawnej muzyki polskiej. Ostatnie 20 lat pracy muzykologów w archiwach polskich i zagranicznych dowiodły, że od stuleci muzyka polska stała na najwyższym światowym poziomie.

Obecnie wydawane są płyty z nagraniami dawnej muzyki polskiej, a ukazanie się każdej z nich jest rewelacją dla historyków i amatorów. Są też w Kraju zespoły poświęcające się wyłącznie koncertom dawnej muzyki. Tak np. „Fistulatores i Tubicinatores Varsoviensis” — „Piszczkowie i trębacz warszawscy”, zespół stworzony przez p. Kazimierza Piwkowskiego, warszawskiego profesora muzyki, który dla swej orkiestry buduje własnoręcznie starożytne instrumenty muzyczne według wzorów zachowanych w muzeach i w literaturze. „Bydgoska Kapela Muzyki Antycznej” specjalizuje się również w jej wykonywaniu i podobnie jak zespół warszawski od-

była szereg koncertów zagranicznych, przyjmowana wszędzie z najwyższym aplauzem.

Ale by koncerty się odbywały, potrzebne są nuty. Wydaniem ich zajmuje się zasłużone **Polskie Wydawnictwo Muzyczne** z siedzibą w Krakowie. Współpracując z Instytutem Sztuki Polskiej Akademii Nauk, PWM wydaje aż 4 serie poświęcone dawnej muzyce.

Pierwsza „Florilegium Musicae Antiquae” — to przede wszystkim muzyka polska, ale również i obca tematycznie lub historycznie związana z polską kulturą. W serii tej ukazały się już 24 tomy nut z omówieniami.

„Wydawnictwo Dawnej Muzyki Polskiej” — to seria obejmująca polskie zabytki muzyczne. Wydano już 60 tomów nut nowo odkrytych dawnych kompozytorów polskich, jak Szarzyński, Mielczewski, Pełkiel, Jarzębski i Zebrowski.

„Źródła do historii muzyki polskiej” objęły 13 tomów studiów z nutami, m.in. symfonie Jakuba Gołębka, Jana Wańskiego, utwory Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego i Macieja Wronowicza.

„Symfonie polskie” — dokumentalna seria wszystkich zachowanych polskich symfoni do XIX w.

Prócz tego w serii „Polska Literatura Choralna” ukazują się nuty (z komentarzami) polskich utworów choralnych, od najdawniejszych do współczesnych.

Warto, aby chóry polskie na wychodźstwie zapoznały się z tymi utworami i włączały je do swoich repertuarów. Są to prawdziwe skarby muzyczne.

Już w XVIII wieku ówczesny wybitny krytyk niemiecki J. A. Scheibe stwierdzał, że w muzyce istnieją cztery podstawowe style utworów: włoski, francuski, niemiecki i polski. A więc stawał już wtedy muzykę polską jako równorzędną z najwybit-

Wydawnictwo Dawna Muzyki Polskie Editions de Musique Polonaise Ancienne

ZEBROWSKI
Magnificat

Dawna polska muzyka organowa
Musique ancienne polonaise pour organe

niejszymi stylami muzyki światowej. Dzięki Polskiemu Wydawnictwu Muzycznemu prawdę tę odkryto na nowo. (JG)

NA RATUNEK CHORYM DZIECIOM

PROF. DR WIKTOR DEGA Z POZNANIA jest lekarzem o światowej sławie. Jego specjalności to chirurgia ortopedyczna i rehabilitacja czyli przywracanie sprawności kalekim dzieciom. Prof. Dega jest m. in. twórcą nowej metody operacyjnego leczenia tzw. wrodzonego zwichnięcia stawu biodrowego. Ta wada rozwojowa uniemożliwia dotkniętym nią dzieciom normalne chodzenie, wytrącając je z życia rówieśników. W kierowanej przez siebie klinice Poznańskiej Akademii Medycznej prof. Dega wykonał już 2 tysiące zabiegów, ratując tyłuż małych pacjentów z tą ciężką wadą.

Ale to nie wszystko. Zabieg operacyjny, nawet niezbędny, jest dla dziecka zawsze ciężkim przeżyciem. Czy można zwichnięciu stawu biodrowego zapobiec? Prof. Dega opracował nową metodę wykrywania i leczenia niedorozwoju stawu biodrowego u noworodków bez operacji. Dzięki niej 95% przypadków zwichnięcia wrodzonego lezone jest w wieku niemowlęcym, bezoperacyjnie, w szybkim czasie i bez kosztownych zabiegów.

Prof. Dega współpracuje bardzo blisko z Towarzystwem Walki z Kalectwem, którego jest aktywnym działaczem. Towarzystwo to wraz z poznańską Akademią Medyczną zorganizowało w tym roku eksperymentalną kolonię letnią dla małych kalek pacjentów. Przez cztery tygodnie wypoczynku w ośrodku w Bninie będą oni pod okiem lekarzy i specjalistów gimnastyki leczniczej wykonywać ćwiczenia przywracające sprawność fizyczną.

Profesor jest laureatem najwyższej międzynarodowej nagrody w dziedzinie rehabilitacji leczniczej — nagrody Fundacji Alberta Laskera, przyznanej mu w



roku 1966. Podczas uroczystości wręczenia uczony światowej sławy prof. dr Howard Rusk powiedział: „Profesor Dega przekroczył granice narodowe i ofiarował swą wiedzę i usługi całej ludzkości”. (G)

GÓRAL, ARTYSTA i PROFESOR

MÓWI SIĘ CZĘSTO, że każda ulica w polskim mieście jest wystawą sztuki. Pięknej, kolorowej i wszystkim bezpłatnie dostępnej — mianowicie plakatów. Jeśli plakat polski uznany jest za jeden z najlepszych, jeśli nie najlepszy w świecie, to jest to w ogromnej mierze zasługą Józefa Mroszczaka. Urodzony w roku 1910 w Nowym Targu, studiował malarstwo kolejno w Krakowie, Wiedniu i warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. W roku 1956 powrócił do niej już jako profesor o wielkiej sławie.

Józef Mroszczak jest twórcą ponad 100 znakomitych plakatów. Towarzyszą one przeciwnym w życiu, grając żywymi kolorami na ścianach ogłoszeniowych i murach domów. Znane też są i nieustannie nagradzane na wystawach międzynarodowych, od Pekinu po Sao Paulo.

Profesor Mroszczak jest także współautorem pawilonów polskich na wielu wystawach i targach: w Paryżu, Brukseli,



Barcelona, Moskwie, Mediolanie, Wiedniu, Berlinie. Wszędzie jego dzieła zdobywały wysokie uznanie. Jako autor a także jako przewodniczący komitetu Międzynarodowego Biennale Plakatu w Warszawie (pisaliśmy o tej wystawie w n-rze 29 Tygodnika) oraz grupy polskiej w Association Graphique Internationale, Józef Mroszczak jest niestrudzonego propagatorem polskiej sztuki użytkowej. A także — wybitnym pedagogiem. W uznaniu jego pracy odznaczono go w tym roku Nagrodą Państwową za twórczość plastyczną.

BEATA TYSZKIEWICZ w EKRYNIZACJI TURGIENIEWA

WYBITNA polska aktorka filmowa, odtwórczyni m. in. roli pani Walewskiej w komedii „Marysia i Napoleon”, została ostatnio zaangażowana do głównej roli (Warwara Ławrecka) w ekranizacji „Szlacheckiego gniazda” Iwana Turgieniewa. Powieść tę, uważa-



na za jedno z najdoskonalszych dzieł rosyjskiej literatury XIX w. przenosi na ekran Andrzej Michajłow - Komczalowski, znakomity młody twórca nagrodzonego na festiwalu w Wenecji filmu „Pierwszy nauczyciel”.

Nie będzie to pierwszy zagraniczny występ polskiej aktorki. Beata Tyszkiewicz, która w maju br. ukończyła pracę nad główną rolą w adaptacji ekranowej „Lalki” Bolesława Prusa, grała już w Indiach (film nie dotarł nigdy na europejskie ekrany) oraz w belgijskim filmie „Mężczyzna z ogoloną głową”.

Nie będzie to również jej pierwszy występ w filmowej adaptacji prozy Turgieniewa. W zeszłym roku zrealizowano w Polsce półgodzinną, barwny film telewizyjny „Pieśń triumfującej miłości” według opowiadania tego pisarza, w reżyserii Andrzeja Żuławskiego. (os)



Pogodny koniec lipca i początek sierpnia umożliwił w Polsce doskonały sprzęt pszenicy kombajnami. Ziarno było suche. Na Dolnym Śląsku kombajny pracowały łąwą, jak w Państwowym Gospodarstwie Rolnym Polewica w pow. Oława

● Nowy dworzec lotniczy w Warszawie

W ostatnich latach ruch pasażerski rozwija się w Polsce bardzo szybko. Jeszcze co prawda daleko do ilości pasażerów obsługiwanych przez lotniska w Paryżu, Londynie czy Frankfurcie n. Menem, ale już w najbliższych latach warszawskie Okęcie obsługiwać będzie ponad 1 milion pasażerów rocznie. Przygotowując się do tego, zaplanowano budowę nowoczesnego budynku oraz urządzeń towarzyszących wraz z wieżą kontrolną.

Oto garść szczegółów dotycząca nowego dworca lotniczego: całość będzie odizolowana od hałasu motorów lotniczych — także 230-metrowy taras dla witających i odprowadzających, którzy będą mogli obserwować całą płytę lotniska; gmach będzie całkowicie klimatyzowany, a zewnętrzne elewacje będą wyłożone specjalnie impregnowanymi płytami mahoniowymi i jesionowymi. Projekt opracowali Jan i Krystyna Dobrowolscy. Główny budynek — hala pasażerska na 70 tys. metrów sześciennych — jest prawdziwym dziełem sztuki architektonicznej.

● Znaleźliśmy „Księżną na Szczecinie”

Prawie cała prasa amerykańska zamieściła wiadomość UPI o niejkiej pani Claude Danuile, która w cywilizowanym życiu jest żoną zamożnego dyrektora hotelu w St. Louis. Dama używa na swoich wizytówkach zgoła królewskiego tytułu: „Jej Wysokość Maria Helena von Schmalensee, Księżna Szczecińska”. Reporterzy amerykańscy zainteresowani oryginalnym tytułem arystokratycznym udali się do żony hotelarza, prosząc o bliższe szczegóły. Dowiedzieli się wówczas, że kobieta o bujnej wyobraźni nie poprzestaje na prawach do Szczecina, lecz sięga znacznie dalej. Jej pełny tytuł brzmi (cytujemy po



● Polonica budowy Kanalu Sueskiego

Jednym z współpracowników słynnego inżyniera, budowniczego Kanalu Sueskiego (1859—69) Ferdinanda de Lesseps był Stanisław Janic-

● Gazela na 13,5 koni mechanicznych

Motocykl nadaje się zarówno do turystyki, jak i do wyczynów sportowych. Pojemność 175 cm, ciężar własny 125 kg, dopuszczalne obciążenie 175 kg, 3,1 l benzyny na 100 km — a szybkość maksymalna 110 km na godzinę. Tak przedstawia się wizytówka techniczna polskiego motocykla „SHL-M 17” z Kielc, nazwanego zasadnie „Gazela”. Smukła linia, estetyczne wykończenie, duże — 18-calowe koła, jednym słowem: piękna maszyna. Tylko siadać, kopnąć rozrusznik...

angielsku): „...Cord Friedrich von Schmalensee, Prince of Ruigen, Duke of Stettin, Duke of Pomern, Duke of Kasuben, Duke of Wenden, Bishop of Kammin, Count of Sutzkow, Lord of Lowenburg and Lord of Butow”.

Bardzo to wszystko brzmi dumnie. Spotykaliśmy się już z różnymi pretensjami do polskich Ziemi Zachodnich, ale trzeba przyznać, że pani Danuile przerosła wszelkie odwetowe fantazje ziomkostw zachodniemieckich. Na to, by obwoływać się „Księżną Kaszubów” oraz żeńskim „biskupem w Kamieniu Pomorskim” — nie wpadł nawet Adolf von Thadden, osławiony przywódca neohitlerowskiej NPD.

● Staw z czerwoną wodą

W południowo-zachodniej Polsce ciągną się malownicze góry Karkonosze należące do pasma Sudetów. Niedaleko od Szklarskiej Poręby znajduje się Mały Staw położony na wysokości 1260 m. Turyści tłumnie odwiedzają to miejsce. Wiadomo bowiem, że od czasu do czasu woda w stawie jest czerwona.

Długoletni mieszkaniec Karkonoszy — kierownik wyciągu krzesełkowego pan Zbigniew Pawłowski twierdzi, że przyczyną osobliwego zjawiska jest po prostu... wina. W pobliżu obecnego schroniska „Samotnia” mieścił się duży magazyn wina, którego niemiecki właściciel nie chciał oddać w ręce nadchodzących wojsk radzieckich. Zatoąpił więc beczki w górskim stawie. Od czasu do czasu, gdy spada kamienna lawina, prawdopodobnie rozbiła beczki i wina zabarwia górski staw. A może to tylko bajda?

● Polski żeglarz nie dostał wizy do Australii

Znany polski samotny żeglarz — Leonid Teliga, który zamierza opłynąć kulę ziemską na swym jachcie „Opty”, czekał trzy miesiące na wizę do Australii, przebywając na wyspach Fidżi. Chciał odwiedzić swoich krewnych, bliźnich kuzynów, z których John Teliga zamieszkały w Australii od 1926 r. i tam wzrosły od dzieciństwa jest profesorem uniwersytetu, a Stanley Teliga, były żołnierz australijski w II wojnie

światowej — prowadzi spore przedsiębiorstwo. Sam Leonid Teliga latał na „Lancasterach” w RAFie.

Te wszystkie fakty podnosił „Fiji Times”, jedna z czołowych gazet na archipelagu — krytykując niezrozumiałą decyzję rządowych władz australijskich. Polskiemu żeglarzowi pozwolono zatrzymać się tylko dla nabrania paliwa, żywności, remontu jachtu, a nie pozwolono zatrzymać się dla odwiedzenia krewnych oraz przeczekania do kwietnia okresu sztormów na Oceanie Indyjskim. „Jeśli odmawia mi się takich samych praw, jakie mają Australijczycy odwiedzający Polskę, nie mam zamiaru lądować tam w ogóle” — oświadczył dzielny polski żeglarz i postanawia płynąć aż do... Casablanki. Życzymy mu pomyślnych wiatrów i uniknięcia huraganów na Oceanie Indyjskim.

● Maszyny włókiennicze z Polski dla Nigerii

W miejscowości Ado-Ekiti w zachodniej części Nigerii buduje się nowoczesną przędzalnię i tkalnię opartą o dostawy polskich maszyn i urządzeń z łódzkich zakładów „WIFAMA”, Lubuskiej Fabryki Zgrzeblarek i znanej, wielkiej fabryki z Bielska „BIEFAMY”, nawiasem mówiąc najstarszej, liczącej w Polsce 120 lat — fabryki maszyn włókienniczych. Wartość kontraktu sięga w cenach światowych 12 milionów franków. Niedawno bawiła w Polsce delegacja nigeryjska z min. Bisi Onabanjo na czele, która z zadowoleniem stwierdziła, że dostawa maszyn będzie zrealizowana o 6 miesięcy wcześniej, niż przewidywała umowa.



● W lipcu odwiedziło Warszawę 339 wycieczek zagranicznych organizowanych przez „Orbis”, w czym było 30 grup „Polonii” z USA, Kanady, Francji i NRF. Największą gromadą przyjechał 500-osobowy pociąg Związku Polaków w Niemczech „Zgoda”.

● Jak wiadomo, Wrocław leży daleko od morza, ale właśnie w stoczni rzecznej na Odrze buduje się pełnomorskie drobnicowce i zbiornikowce 500—700 tonowe dla obsługi wybrzeża polskiego, a także dla Egiptu i Indonezji. Najnowszym statkiem pełnomorskim zbudowanym w stoczni wrocławskiej jest m/s „RUNEK”.

● Krewki dzik zaatakował pociąg pod Olsztynem, ale szarża zakończyła się jego śmiercią. Lekarze od razu podejrzewali, że wojownicze zwierzę było chore na wściekliznę, którą roznoszą lisy.

● Dwadzieścia lat temu podjął produkcję wielki, najbardziej wszechstronny w Polsce kombinat chemiczny w Oświęcimiu. Dostarcza on 6,3% całej produkcji polskiej wielkiej chemii, w 150 asortymentach, a samego karbidu wyprodukował 2 miliony ton.

● W Studziankach n. Pilicą, gdzie Ludowe Wojsko Polskie stoczyło swą największą bitwę pancerną, założono gospodę o nazwie „Pod kulawym tygrysem”, co jest aluzją do znanych czolgów niemieckich. Na miejscu bitwy (2—12.VIII 1944 r.) odbyło się ostatnio wielkie spotkanie kombatanów — żołnierzy, którzy rozgromili dywizję pancerną SS — „Herman Göring” niszcząc 40 czolgów.

Tygodnik GAWĘDA

- ▲ Encyklika Pawła VI tematem dyskusji
- ▲ Pani Słowińska z Zębu
- ▲ Życie idzie swoim torem

Tak jak na całym świecie, również w Polsce encyklika papieża Pawła VI stała się przedmiotem dyskusji w różnych środowiskach, a przede wszystkim na wsi. Trzeba bowiem powiedzieć, że w miastach ludzie na ogół od dawna już — i to bez względu na to, czy są wierzącymi i praktykującymi katolikami, czy też nie — zdecydowali się na ograniczenie ilości dzieci i planowanie rozwoju rodziny. To, że tak jest — wynika niewątpliwie z danych statystycznych o ilości urodzeń, częstszych (ale znów nie o wiele częstszych) na wsi niż w mieście.

Mój ojciec pochodził z rodziny, w której było trzynastoro dzieci — było to w owym czasie (druga połowa 19 wieku) dość powszechne, dziś należy do wyjątków. Wprawdzie spotkałem się ostatnio podczas pobytu na Podhalu z zupełnie rekordowym wypadkiem: gaździna Słowińska, rodem ze wsi Zab, dziś już starszuszka, miała ponoć aż 24 dzieci; dzisiejsi jednak górale zadowolają się w większości wypadków co najwyżej trójką dzieci.

Na wyraźny spadek liczby urodzin wskazuje współczynnik ruchu naturalnego ludności. Może pozwolicie, moi Mili, że przytoczę tu zaczerpniętą z oficjalnej statystyki tabelkę:

Rok	Urodzenia żywe na 1000 ludności	Zgony niemowląt na 1000 urodzeń żywych
1926—1930 (przeciętna roczna)	32,3	147,0
1950	30,7	111,2
1955	29,1	82,8
1960	22,6	54,8
1965	17,4	41,4
1967	16,3	37,8

Cóż z tej tabelki wynika? Przede wszystkim stały i konsekwentny spadek liczby urodzin. Czyżby Polacy stawali się mniej męscy? Skądże! Mogłoby być na ten temat powieść Angielki w czasie ostatniej wojny, kiedy to Polacy cieszyli się ogromnym i nader zasłużonym powodzeniem u płci pięknej na wyspach brytyjskich. A więc nie to. Czemu

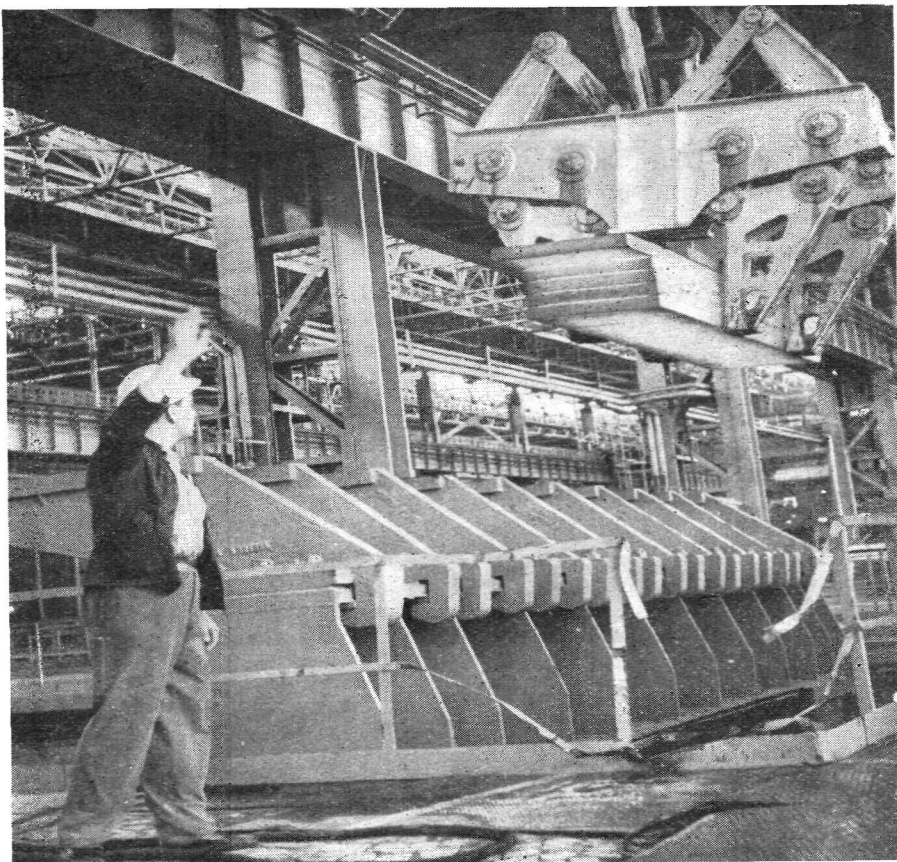
zatem można przypisać spadek urodzeń w Polsce? Niewątpliwie — tak jak wszędzie — rozsądnemu planowaniu rodziny, by skończyć wreszcie ze stanem, który był przez wieki całę przekleństwem dla kobiety, kiedy to „co rok — prorok”. Dziś kobieta w Polsce zajmuje równorzędne stanowisko z mężczyzną, pracuje na różnych stanowiskach i zarabia, i nie chce i nie może sobie pozwolić na to, by przez całe dziesiątki lat na zmianę być albo w ciąży, albo karmić niemowlę. Jest to objawem normalnego rozwoju współczesnego społeczeństwa i żadne zakazy, choćby nawet największych autorytetów, tego procesu nie zdołają powstrzymać.

W rzeczywistości spadek urodzeń żywych jest jeszcze wyższy, aniżeli to na pierwszy rzut oka wykazuje przytoczona tabela. Zwróćcie, proszę, uwagę na ostatnią rubrykę tej tabeli, mianowicie na ogromny spadek zgonów niemowląt ze 147/1000 do niespełna 38/1000. Oznacza to, że znacznie, bez porównania więcej urodzonych dzieci w Polsce niemowląt pozostaje przy życiu. Innymi słowy — dawniej rodziło się o wiele więcej dzieci, ale też znacznie więcej umierało. Oczywiście ten nader korzystny spadek śmiertelności niemowląt Polska zawdzięcza dziś powszechnej służbie zdrowia, trochę o matkę i dziecko, a także zmianie warunków bytowych ludności.

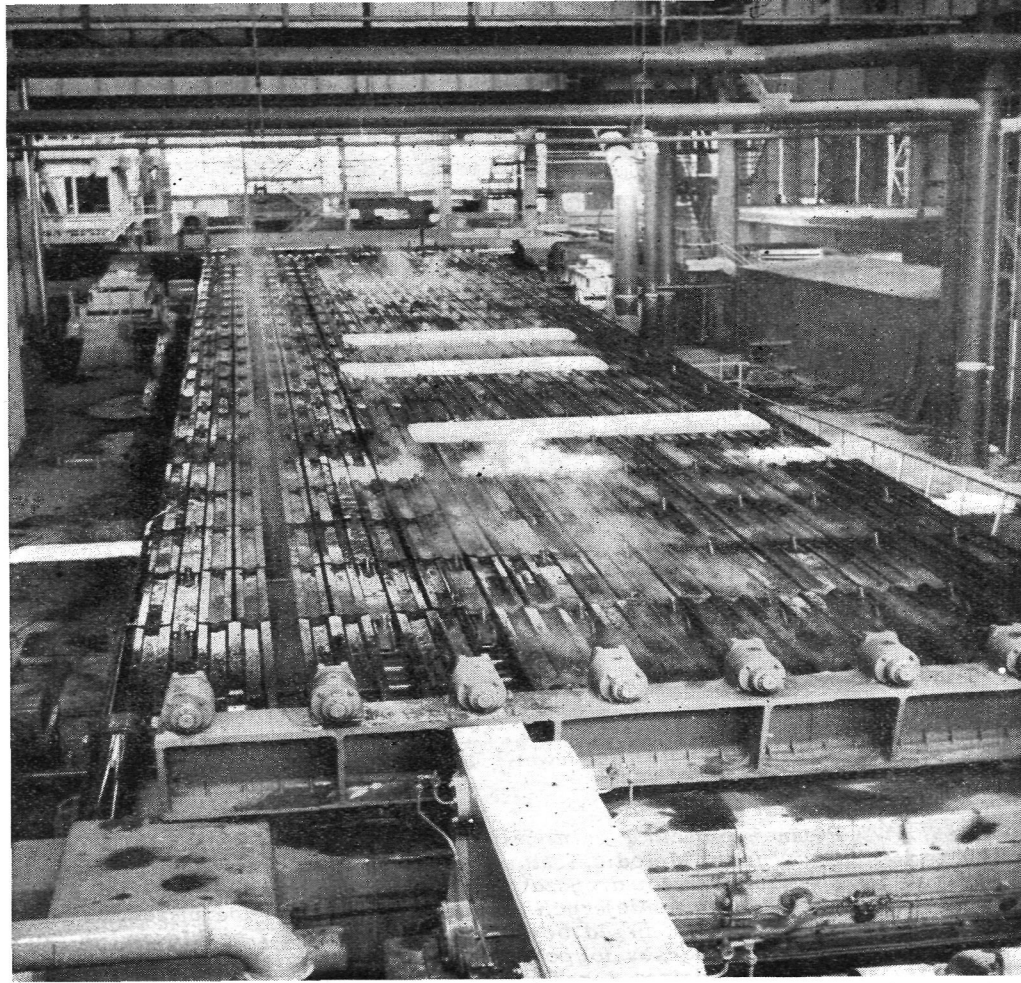
Tak to wygląda. Katolicki „Tygodnik Powszechny” ostatnio zamieścił artykuł p.t. „Czy warto mieć dziecko?”, stawiając tezę, że są wśród ludzi dwie różne postawy: ci, którzy skłonni są do poświęceń, chcą mieć dzieci, ci zaś, którzy uważają, że dziecko jest komplikacją i zagrożeniem spokojnego życia, wdrażają się przed tym. W rzeczywistości wcale tak nie jest. Ludzie w Polsce chcą mieć dzieci i mają je, dbają o nie, kochają je bardzo (nie mówię o wyjątkach). Nie chcą natomiast płodzić masowo dzieci w myśl dawnej, jakże niestusznej maksymy: „Jeżeli Pan Bóg daje dziecko, to daje i na dziecko”. Chcą móc wychować dzieci, dać im wygodę, szczęśliwe dzieciństwo i wiedzę. Dlatego planują swoją rodzinę. Sprawa jest prosta.

MARIAN





Na dany sygnał suwnica unosi walcowane płyty w hali walcowni-zgniatacza



Rozpalone do białości slaby suną posłusznie pod kolejne potężne walce

SLABING

W ZESZŁYM MIESIĄCU zamieściliśmy w „Tygodniku” krótką wiadomość o uruchomieniu w krakowskiej Nowej Hucie walcowni-slabingu. Powracamy do tej sprawy, gdyż nawet przy wysokim tempie uprzemysłowienia Kraju, przy dużej liczbie wielkich zakładów uruchomionych w czerwcu i lipcu br. w różnych okolicach Polski, slabing uważany jest za „budowę roku”, inwestycję wyjątkowego znaczenia.

Tego rodzaju i wielkości urządzenia walcownicze posiadało dotychczas tylko kilka największych potęg przemysłowych świata: NRF, USA, ZSRR. Slabing jest niezbędnym ogniwem pośrednim między stalownią, produkującą stal surową w postaci wlewków, i walcownią wyrobów gotowych. Wlewki są zbyt duże i zbyt ciężkie, aby mogły być przekazywane bezpośrednio do walcowni. Ponadto walcowanie pośrednie w slabingu (produktem są tu „kieszka płaskie” czyli slaby — stąd nazwa urządzenia) polepsza jakość stali.

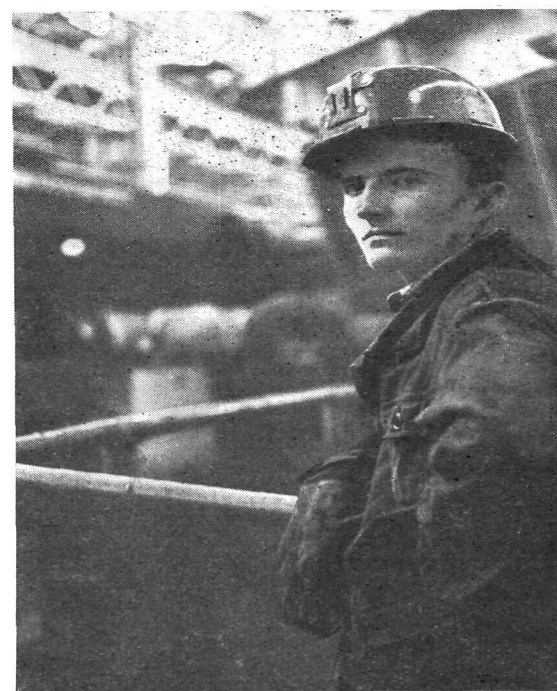
Otóż dotychczas hutnictwo polskie musiało wysyłać sporo stali za granicę do wstępnej obróbki. Oznaczało to dużą stratę czasu, ogromne wydatki w dewizach i na koniec, co nie najmniej ważne — obciążenie kolei ciężkim transportem na długich trasach.

Dlatego slabing nowohucki jest inwestycją wysoce opłacalną, przyniesie gospodarce krajowej olbrzymie oszczędności.

ZDJĘCIA: A. JAŁOSIŃSKI



Wprawdzie wszystkie operacje są sterowane z centralnej nastawni slabingu...



...ale obserwować je trzeba z uwagą

LA BOUTIQUE POLONAISE

25, rue DROUOT PARIS 9

téléphone: 770-83-37 C.C.P. Paris: 189-46-68

Poleca po cenach najniższych następujące książki:

St. ARNOLD, M. ŻYCHOWSKI

Halina BOHDANOWICZ
Halina BOHDANOWICZ
James CURWOOD

Tadeusz CHRZANOWSKI
Paul FÉVAL
Jerzy LISOWSKI
Antoni PLATKOW
Antoni PLATKOW

„POLOGNE — Réalités et Problèmes”
„PORADNIK MECHANIKA” (Mały) 950 str.
„PORADNIK SPAWALNICZY” 914 str.
„PORADNIK TOKARZA” 464 str.
„PRZEWODNIK PO UPAMIĘTNIONYCH MIEJSCACH WALK I MĘCZENSTWA”. Lata wojny 1939 — 1945
Władysław REYMONT
Maria SZYPOWSKA

Stefan ZEROMSKI

— ZARYS HISTORII POLSKI (w języku polskim lub francuskim) 11,70
— WAWEL (album) 12,35
— KOŚCIÓŁ MARIACKI (album) 8,40
— WŁOCZĘGI POŁNOCY SZARA WILCZYCA 5,10
— RZESZÓW (album) 12,35
— KAWALER DE LAGARDÈRE 6,15
— ANTOLOGIA POEZJI FRANCUSKIEJ 26,25
— COMMENT LE DIRE EN POLONAIS? 6,00
— ROZMÓWKI FRANCUSKIE 6,00
— 24,20
— 32,00
— 27,00
— 12,00
— 15,10
— 18,50
— CHŁOPI (4 tomy)
— JĘZYK FRANCUSKI
— DLA POCZĄTKUJĄCYCH 21,00
— LUDZIE BEZDOMNI 7,70

Do cen podanych powyżej doliczamy kosztą własne przesyłki pocztowej.

Posiadamy obecnie nową płytę Kmiecika N° 421 078 p.t.:

DZIŚ WIECZOREM TAŃCZYMY — cena 21,00 fr. z przesyłką.



Od czasów Bolesława Chrobrego wojska polskie przed bitwą śpiewały zawsze „Bogurodzicę”. Śpiewały ją też oddziały uskrzydłonej husarii

Od „BOGURODZICY” do „SERCA W PLECAKU”

Pieśń i piosenka żołnierska. Któż z wojskowych nie docenia ich wpływu. Melodie i słowa pieśni są chyba najwierniejszymi przyjaciółmi i towarzyszami żołnierskiego życia. I zawsze nimi były. Od najdawniejszych czasów. W marszu i we wszelkim wojennym trudzie; przed bojem, po zwycięstwie i po klęsce; na posterunku i podczas wypoczynku; w ojczyźnie i na obczyźnie; wyrażały nadzieję i radość, koły bóle i tęsknoty, zbliżały do ojczyzny i do rodziny. Gdyby nie one, o ileż trudniejsze byłoby żołnierskie życie.

NA PRZESTRZENI dziejów Polski jej wojskom towarzyszyła niezliczona ilość pieśni. Każdy historyczny okres, każdy zbrojny huk czy armia miały ich po kilkadziesiąt. Najwięcej powstało w wieku XIX i XX. Ileż to razy dochodziło w tych czasach walczyć o wyzwolenie ojczyzny. Ileż to razy pieśń wspomagała bojowe przedsięwzięcie? Przesłuchanie polskich pieśni żołnierskich z różnych czasów i epok to jakby lekcja wojennej historii Polski. Zorganizowano taką lekcję w Kołobrzegu i zgodnie z dzisiejszymi zwyczajami nazwano ją festiwalem „Festiwałem Żołnierskiej Piosenki”.

Nowoczesny amfiteatr Kołobrzegu wypełniony został publicznością: kurać i wczasowicze obok licznych mieszkańców podniesionego z gruzów miasta, dużo żołnierzy i oficerów wojska polskiego, również generałowie — na przednich miejscach obok przedstawicieli władz miejskich i wojskowych. Ale najwięcej zebrało się

młodzieży, tej młodzieży, która wydałoby się na co dzień przepada tylko za big-beatem. Na estradzie Koszalińska Orkiestra Symfoniczna, a nad nią chór górników z katowickiej kopalni „Wujek”. Najpierw orkiestra gra Mazurka Dąbrowskiego „Jeszcze Polska”. Wszyscy wstają, prężą się; generałowie, oficerowie i żołnierze salutują. Po hymnie następuje oficjalne otwarcie Festiwalu, chór śpiewa potężną w swym wyrazie BOGURODZICĘ — najstarszą polską pieśń bojową i najstarszy hymn polski, śpiewany przez setki lat przed każdą z bitew i na każdej uroczystości.

Jan Długosz w swych „Dziejach Polski” podaje, że była to „patrium carmen” — pieśń ojczysta, którą śpiewano pod Grunwaldem w 1410 r. i pod Nakłem w 1431 r., w bitwach z Krzyżakami i wielu innych, ale legenda ludowa utrzymuje, że jest ona znacznie starsza i chyba była śpiewana już w 1222 roku, kiedy Bolesław Krzywousty przywracał dla Polski zrabowany czasowo Kołobrzeg. Piszemy przywracał.

Bo Kołobrzeg to jedno z najstarszych miast polskich. Otrzymało ono biskupstwo z inicjatywy Bolesława Chrobrego w roku 1000, równocześnie z Krakowem i Wrocławiem. I „Bogurodzica” jako pierwsza pieśń Festiwalu dobrze harmonizowała z burzliwymi dziejami Kołobrzegu. Melodia jej dwu początkowych zwrotek ma archaiczny charakter w gregoriańskiej intonacji, ale dalsza jej część, a zwłaszcza czwarta, od słów „Tam radość, tam miłość” uderza w ludowy, niemal taneczny ton kantyczek czy pastorałek.

Drugą pieśnią, która jakby splatała nowe dzieje Kołobrzegu z dawnymi, była „Oka” — pieśń wojska polskiego uformowanego w ostatniej wojnie w Rosji nad rzeką Oką, pieśń, z którą przemierzono bojowy szlak od Lenino do Berlina: „Był już niejedyn las, wiele przeszliśmy rzek, ale najpiękniejszy, ale najpiękniejszy jest naszej Wisły brzeg” — głoszą słowa tej pieśni zdalonej daleko od ojczyzny, wyrażające niezłomną wiarę w przepędzenie wroga i tęsknotę za rodzinnymi stronami żołnierskich wygnańców. Pieśń ta brzmiała wszędzie tam, gdzie maszerowała i walczyła I Armia Wojska Polskiego. A bitwa o twierdzę i port Kołobrzeg w 1945 roku to jeden z najkrwawszych i najbardziej zaciętych, ale zwycięskich bojów jej żołnierzy. Przywrócili oni Polsce w tych dniach Kołobrzeg, a także i drugie historyczne miasto Polskiego Pomorza — Kamień Pomorski.

Po „Bogurodzicy” i „Oce”, zaprezentowano na Festiwalu długi ciąg wojskowych pieśni w historycznej kolejności. Starych i nowych. Wesołych

„Ułani, ulani, malowane dzieci” wobec zmian, jakie nastąpiły we współczesnej technice wojskowej, pozostaną w naszej pamięci jedynie dzięki piosenkom, które mówią, jak to za ulanami „leciały panienki” i jak to „nie było domu ani nawet małej chatki, żeby nie kochały ulana mężatki”. Takie to wspaniałe wojsko stanowili polscy ulani



i smutnych, jak i tych dostojnych i dumnych. Było też wiele takich pieśni, które do dziś znane są jedynie nielicznym, słusznym je więc przypominano, wydobycie z ukrycia.

Nie brakło oczywiście pieśni kosciuskowskich kosynierów z „Bartoszu! Bartoszu! O nie traćwa nadziei”, licznych pieśni powstańczych, nie brakło też „Warszawianki” — „La Varsovienne ou la Polonaise 1831”, do której słowa napisał francuski poeta Casimir Delavigne (1794—1843), a podyktowane były sympatią dla Polaków walczących w Powstaniu Listopadowym. Przełożył je jeden z wybitnych działaczy i pisarzy emigracyjnych, Karol Sienkiewicz, współorganizator Biblioteki Polskiej w Paryżu, a melodię skomponował Karol Kurpiński. Ta pieśń — rozpoczynająca się od słów „Oto dziś dzień krwi i chwały” — była śpiewana w czasie obrony Warszawy w 1939 roku i później, w 1944 r., w czasie Powstania Warszawskiego.

Miały należne miejsce w programie Festiwalu pieśni polskich żołnierzy





„Błoto, deszcz czy słoneczna spiekota zawsze słyhać miarowy, równy krok, to maszeruje leśna piechota, na ustach śpiew, spokojna twarz, pogodny wzrok”



Uczestnikami Festiwalu Żołnierskiej Piosenki w Kołobrzegu były zespoły amatorskie i artyści-amatorzy z całego Kraju. Poziomym wykonania piosenek nie ustępowali oni jednak wcale czołowym i szeroko znanym zawodowcom



Wiele pieśni wykonał na Festiwalu gościnnie w mundurach historycznych Zespół Pieśni i Tańca Wojska Polskiego, znany ze swych występów we Francji. Na górnym zdjęciu podchorążowie z czasów Księstwa Warszawskiego podczas wykonywania „Warszawianki”, poniżej śmigli Podhalanie oraz zgrabne i piękne góralki w ludowym tańcu z pieśnią. Widownia biła brawa bez końca

walczących na Zachodzie, o „piaskach Tobruku” i „czerwonych makach na Monte Cassino”, które przewijały się często w repertuarze festiwalowych wykonawców, wywołując każdorazowo entuzjazm widowni.

Nie zapomniano oczywiście o pieśni partyzanckiej, która rodziła się w lesie i może przez to jest bardziej sentymentalna i porywająca za serce niż inne wojskowe melodie i słowa. Polska pieśń partyzancka ma swoje wielkie tradycje, jest bardzo lubiana przez młodzież, która łączy ją z wielką przygodą i hartem odważnych ludzi. O „rozszumiałych wierzbach płaczących”, o tym, że „dziś do ciebie przyjść nie mogę”, gdyż „do lasu idę spać”, o „partyzantce, w której nie jest źle”, o tych ze „spalonych wsi” i „z głodujących miast”, o tym „jak chłopskie serce werblem wali, gdy ojczyzny woła zew”, o „Natalii pachnącej wiatrem, leśnym szumem i konwalią, uwielbianej przez batalion”, o „sercu w plecaku, które żołnierz miał w zapasie”... itd., itd. Jest tych pieśni kilkadziesiąt, każda ma swoją historię, większość

autorów strof i melodii padła w walce z najeźdźcą w ostatniej wojnie, wielu jest nieznanymi.

Przez sześć dni Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu publiczność oceniała wartość utworów i poziom ich wykonania oklaskami, a jury słuchało w skupieniu, chcąc swój werdykt wydać jak najsprawiedliwiej. Blisko sześć godzin trwał koncert finałowy. Mimo chłodu ponad 5 tys. osób wypełniło amfiteatr po brzegi. Jeszcze po dwunastej w nocy zmuszano wykonawców do bisowania.

Jury przyznało pierwszą nagrodę za najlepsze wykonanie w kategorii amatorskich zespołów wokalnych zespołowi wokalnemu „NASTOLATKOW” ze Szczecina oraz kwartetowi chóru „POCHODNIA”. W kategorii solistów-amatorów — bezkonkurencyjną interpretatorką piosenek żołnierskich okazała się Maria JARZĘBSKA z Pabianic.

Piosenka żołnierska przeżywała w Kołobrzegu swe wielkie dni.

Krzysztof PRÓCHNICKI





Państwo Cichońscy z synkiem w odwiedzinach u rodziny w Normandii przed wyruszeniem w podróż do Polski, od tak dawna już planowaną

PO RAZ PIERWSZY DO POLSKI

LODRÓŻ ta była przedmiotem ich marzeń od dawna. P. Jan Cichoński urodził się we Francji, tutaj się wychował i doszedł do wieku dojrzałego. Opuściwszy rodzinne Soissons zamieszkał w Paryżu i wczesnie zaczął pracować na siebie. Zoną jego, p. Martine Courteille, rodem z Normandii, również przejechała do stolicy we wczesnej młodości, aby pracować i zainstalować się tu na stałe. W Paryżu poznali się, pokochali i wzięli ślub. Minęło wiele lat, zanim znaleźli małe mieszkanko w jednym z zabytkowych budynków dzielnicy Le Marais. Jeszcze więcej lat trzeba było, żeby przenieść się stamtąd do własnego domu z ogrodem na paryskim banlieue. Były to lata wytrwałej, solidnej pracy, oszczędzania i wielu wyrzeczeń. Tylko dzięki temu cel swój osiągnęli.

Pan Jan mówi biegle po polsku. Z domu wyniósł tę znajomość języka przodków wraz z silnym przywiązaniem uczuciowym do Polski. Nieraz opowiadał swej małżonce i swemu synkowi Gerardowi o Kraju, którego nigdy na oczy nie widział, ale o którym stale słyszał i koniecznie chciał poznać.

No i nareszcie w tym roku, po tylu latach oczekiwania, nadszedł moment, kiedy pp. Cichońscy mogli wybrać się w podróż do Polski. Trasę opracowali już od dawna. Pragną poznać Szczecin, Gdańsk i całe Trójmiasto, Pojezierze Mazurskie, Warszawę, Lublin, Rzeszów oraz Kraków wraz z Zakopanem i Wieliczką.

Podróż ta jest wielkim wydarzeniem w ich życiu. Spełnia ona wreszcie pragnienie, które nie opuszczało p. Cichońskiego od najmłodsze dzieciństwa. Przed wyruszeniem w drogę odwiedzili pp. Cichońscy rodzinę w Normandii — pp. Courteille — rodziców, ich synów z żonami, córki z mężami i liczną gromadkę najmłodszego pokolenia. Wszyscy zebrani na wspólnym rodzinnym przyjęciu życzyli odjeżdżającym miłego pobytu w Polsce i prosili, aby po powrocie opowiedzieli im dokładnie swe wrażenia.

Jesteśmy przekonani, że wakacje w Polsce upłyną naszym przyjaciom bardzo przyjemnie. Zachęci to, być może, i resztę rodziny, aby również wybrać się do Polski i poznać ten kraj, o którym pan Jan mówi zawsze z tak wzruszającym uczuciem.

W domu pana Sienkiewicza

PIEKNA JEST W LECIE Ziemia Kielecka. Jak okiem sięgnąć, łagodnym pasmem ciągną się wokół zielone wzgórza, tu i ówdzie czernieje las na horyzoncie, bieleją chaty wiejskie kryte porządnie czerwona dachówką, bociek — żywy symbol polskiego krajobrazu kroczy poważnie po łące.

W takiej to właśnie sielankowej okolicy, zaledwie pół godziny jazdy samochodem od Kielc, znajduje się uroczy dworek, który okolice ludność wciąż jeszcze nazywa „domem pana Sienkiewicza”, choć minęło już lat 54, odkąd pisarz w sierpniu 1914 roku opuścił siedzibę w Oblęgorku, aby udać się w ostatnią w swoim życiu podróż — do Vevey.

Różne koleje losu przeżywał później biały dom na wzgórzu, widoczny z daleka dzięki ustawionej na dachu figurze husarza w pełnej zbroi. Jako dar społeczeństwa polskiego przekazany pisarzowi w jubileuszowym — 1900 roku — pozostał po śmierci pisarza we władaniu rodziny, podupadł jednak z czasem, a po ostatniej wojnie wymagał gruntownego remontu. Tego przy pomocy społeczeństwa dokonał już Państwo, przejmując na życzenie spadkobierców dworek, aby urządzić w nim pierwsze w Polsce biograficzne Muzeum Henryka Sienkiewicza.

Był słoneczny letni poranek, kiedy stanąłem na ganku, przed którym czekały już w kolejce grupy wycieczek, przybyłych autokarami na zwiedzanie. Głównie młodzież. Jakaż to dla niej atrakcja znaleźć się w pokoju, w którym „pan Sienkiewicz” pisał swoje powieści, zobaczyć taras, gdzie przy herbacie gawędził z gośćmi, posłuchać wyjaśnień z ust miłej starszej pani, która jest synową pisarza — pani Zuzanna Sienkiewiczowa — kierowniczką Muzeum.

Wszedłem wraz z młodymi i od razu w hallu zwróciłem uwagę na tablicę, uwidaczniającą nakłady książek Henryka Sienkiewicza wydanych w Polsce tylko w latach powojennych. „Trylogia” — wielki cykl powieści historycznych — 3,5 miliona egzemplarzy; „Kryzysy” — 2,2 miliona, „W pustyni i w puszczy” — opowieść o Afryce — 1.200.000. Wszystkie te książki tłumaczone były na wiele języków: np. „Trylogia” ukazała się w 27 wersjach obcojęzycznych, a słynny epos „Quo vadis” osiągnął rekord w tej dziedzinie — 28 języków europejskich i azjatyckich. Dwa zwłaszcza pokoje na parterze budzą zaciekawienie zwiedzających: salon i gabinet. W salonie na ścianach obrazy i portrety pisarza, m. in. jego portret, gdy przebywał w Turcji kwarantanną na statku, jest

również portret dziadka — Józefa Sienkiewicza w mundurze porucznika wojsk napoleońskich.

W gabinecie oczy wszystkich kierują się w stronę secesyjnego czerwonego biurka: niewielki to mebelik i raczej niepokojny, a przecież przy nim to pisał Sienkiewicz „Ogniem i mieczem”. Pisał w Warszawie, ale biurko tak polubił, że kazał je ustawić w Oblęgorku, choć spędzał tu tylko miesiące letnie, albowiem dworek w zimie był trudny do ogrzania.

Na biurku i wokół niego — pamiątki i dary od wielbicieli: kule z obłężenia Czeszochowy i Zbaraż, zegar z 1900 roku, zbiór broni staropolskiej z buławą pułkownika, jest tu również broń myśliwska i turkacka: jatagany, miecze i tarcze, opisywał je nieraz na kartkach swoich książek. Na etażerkach — książki, po które sięgał: Homer i Tacyt, jak informuje pani Sienkiewiczowa, to byli obok Szekspira i Dickensa jego ulubieni autorzy.

Jest mnóstwo albumów z wyrazami czci i hołdu. Przesyłał je Polacy z Kraju i z całego świata. Jest złożona szkatułka z Litwy z nazwami miast, które opisywał w „Potopie”. Są rzeźby: byk i gladiator z brązu — to dar Neapolu za „Quo vadis”, na innej rzeźbie — pisarz w wienku laurowym. Ze wzruszeniem oglądam przedmioty, którymi się zabawiał: oto stary fotoplastikon z widokiem miast Syberii, ofiarowany w 1902 roku przez mieszkańców Witebska, obok — aparat fotograficzny, dziwna drewniana skrzynka, z którą wędrował po Afryce.

Bowiem Sienkiewicz — pamiętajmy o tym — był nieładną turystą: mapa plastyczna jego wędrowek po świecie ukazuje 47 miast na czterech kontynentach. W osobnej sali leżą w gablotach rękopisy: są tu fragmenty powieści „Na polu chwały” z czasów Sobieskiego i komedyjka „Zagłoba swatem”, którą Sienkiewicz napisał do odegrania w 1900 roku na obchodach swego jubileuszu, określając ją, jako „rzecz marną, ale bardzo wesołą”. Pochylał się nad kartkami papieru — zdziwiająco czytelny charakter pisma miał autor „Potopu”, a jeszcze bardziej zadziwia znikoma ilość kresłonych na marginesach poprawek.

Jest godzina druga. Sprzed dworku odjechał ostatni autokar z wycieczką, było ich dziś, w dzień powszedni, piętnaście, w niedziele i święta była dwa razy tyle; aż trudno nadażyć z oprowadzaniem, mimo że w tej wdzięcznej pracy pomaga pani Zuzanna Sienkiewiczowa — wnuczek pisarza. Siadamy w fotelach na krótką pogawędkę.

— Oblęgorek — mówi pani Sienkiewiczowa — został zakupiony w roku 1900 ze składek społeczeństwa polskiego z udziałem Polonii zagranicznej i stał się po dwóch latach siedzibą pisarza. Przyjechał tu, witany bardzo uroczysto, ale przebywał w Oblęgorku tylko w lecie, gdyż pałacyk był bardzo zimny. Mimo to spędzał w Oblęgorku pracowicie swe tygodnie letnich wakacji, tu m. in. powstała nowela „Dwie łąki”, tutaj także wykańczal niektóre rozdziały swoich jubileuszowych utworów: „Na polu chwały”, „Legiony”, tutaj poprawiał swoje afrykańskie dzieło, tak lubiane przez młodzież — „W pustyni i w puszczy”. W Oblęgorku, gdy w lecie 1914 roku przebywał tu z rodziną, zaskoczyła Sienkiewicza wielka wojna, stąd też wyjechał do Szwajcarii.

W roku 1966 — w 50-lecie śmierci pisarza — cały pałacyk został gruntownie odnowiony, w znacznej mierze ze składek publicznych, i przeznaczony na Muzeum oraz na pracownię naukową nad twórczością Sienkiewicza, do czego służy specjalna obszerna sala. Frekwencja w Muzeum jest duża: w roku 1967 odwiedziło je 85 tysięcy osób, w tym wielu gości z zagranicy.

A potem z Oblęgorka pojechałem do pobliskich Chęcini. Starodawna to osada z ruinami zamku, obok których wyrósł tego lata nowy potężny zamek, nad którym powiewa na wieży królewskiej chorągiew. Wkroczyliśmy w XVII wiek. Dookoła zamku, który wyobrażał ma Kamieniec Podolski, ruch i wojenna wrzawa, biją armaty, palą się ognie na wałach. Turcy w spiczastych czapach idą do szturmu, polscy obrońcy twierdzy bronią się dzielnie, trup pada gęsto. Bo właśnie w Chęcinach na Ziemi Kieleckiej odbywa się ekranizacja słynnej powieści Henryka Sienkiewicza „Pan Wołodyjowski”. Bliskość Oblęgorka zdaje się patronować nowemu dziełu kinematografii polskiej, na które czekają z niecierpliwością miliony młodych i starszych zwolenników książek ulubionego nie tylko w Polsce pisarza.

Leopold MARSCHAK

C'est la vie

WAKACJE Z... KROWĄ!

Stefan M., 20-letni górnik z Siemianowic dostał w spadku po matce krowę, po którą musiał udać się aż do Koszalina. Młody człowiek wykorzystał w tym celu swój urlop. Wędrowka z krową z Koszalina do Siemianowic trwała 20 dni. Pan Stefan twierdzi, że takich cudownych i urozmaiconych wakacji jeszcze nie miał.

MODA NA PROFILAKTYKĘ

Miejski Społeczny Komitet Przeciwalkoholowy w Wałbrzychu zwrócił się do dyrekcji szkół z propozycją zorganizowania szkolnych kół przeciwalkoholowych. Według propozycji komitetu koła mają organizować w szkołach zabawy bezalkoholowe. Wprawdzie nie wiadomo nam — pisze „Głos Pracy” — by w wałbrzyskich szkołach organizowano dotychczas zabawy alkoholowe, ale profilaktyka jest modna. A może zorganizować koła przeciwalkoholowe w przedszkolach i żłobkach? — proponuje wspomniany dziennik.

ORYGINALNE POMYSŁY

Jedna z chorzowskich matek zewzwołała swemu 14-letniemu synkowi zabrać na kolonię letnią magnetofon. Kiedy chłopak po przybyciu do ośrodka puścił samograj w ruch, zamiast ulubionych piosenek w wykonaniu „Czerwonych Gitar” usłyszał głos mamy, doradzającej mu codziennie myć zęby, zmieniać bieliznę, nie kłaść się do łóżka z brudnymi nogami, zjadać wszystko, co podadzą itp.

Jakież było zdziwienie kierownictwa jednego z przedsiębiorstw kieleckich, gdy pewnego dnia na wszystkich tablicach ogłoszeń pojawiły się przeróżne afisze, nawet sprzed kilku lat. Po bliźszym zbadaniu sprawy okazało się, że powodzenie propagandy wizualnej miało

związek z... tzw. trzynastą pensją. Po prostu afisze nie były zamocowane na wysokości premi. W ten sposób niektórzy pracownicy przedsiębiorstwa chcieli ukryć swoje „kieszonkowe” przed oczyma żon, które czasami odwiedzają miejsce pracy swych ślubnych.

FINAL URLOPOWEGO SPORU

Spór małżeński państwa M. z Chorzowa o to, dokąd wyjechać na wakacje, znalazł swój epilog dopiero na peronie dworca w Chorzowie Batorym. Na oczach sporego tłumu gapiów w kilka minut przed przyjazdem pociągu przepakowano dwie ogromne walizy. Mąż wziął jedną z nich i córceczkę i wsiadł do pociągu w kierunku Krakowa. Zoną z drugą walizką i synkiem w kilka minut później zajęła miejsce w pociągu do Gdyni.

„UWAGA! ŚLEDZIE NA DRODZE!”

W woj. koszalińskim śledzie spowodowały... wypadek drogowy. Prawdopodobnie wzięte ciężarówką śledzie wypadły na drogę i na nie najeżdżał motocyklista. Widząc, że motocyklista się przewraca, jadący za nim kierowca autobusu chciał zahamować, ale wpadł w poślizg. Autobus przewrócił się do góry kołami, 17 osób odniosło obrażenia!

PODSŁUCHANE

Sędzia: Wiec, w jaki sposób oskarżony chce udowodnić swoją niewinność?

— Proszę mi pozwolić zastanowić się.

— Dobrze, 5 lat na zastanowienie wystarczy?

— Wiesz tato, za czasów Bolesława Chrobrego dzieci miały świetne życie.

— Dlaczego?
— Bo było o 200 stron historii mniej do nauczenia się.

SZKODLIWOŚĆ TELEWIZJI

Reportaż filmowy nadany w Telewizji zarządził pani Róży S. z Rudy Śląskiej, że jedną z ostatnich niezdzierżawionych nieruchomości w łepielskim towarzystwie uroczej przyjaciółki pani Róży, a nie — jak zapowiedział — na meczowej podróży służbowej do Poznania. Oszukana małżonka natychmiast udala się pod dobrze znany adres. Siłą wtargnęła do mieszkania przyjaciółki, zastając męża w bardzo swobodnym domowym nastroju. Epilogiem tych wydarzeń stanie się rozprawa rozwodowa.

WSPÓLCZESNE PANCERZE

Mylne byłoby przypuszczenie, że pancerze to wyłącznie muzealny relikwiarz. Produkcja pancerni odbywa się u nas pełną parą. Są one nieco unowocześnione, ale ich przeznaczenie jest takie samo jak w średniowieczu. Współczesny pancerz zrobiony jest z płyty ceramicznej wypalonej z węgliku baru, a podbitej laminatem. Nosi się go nie jak ongiś na ubraniu, lecz pod ubraniem. Pancerze tych używają strażnicy bankowi i milicjanci.

NIECODZIENNY ŚLUB

Sensacją Świętochłowic stał się ostatni ślub znanej pary artystów cyrkowych, którzy do Urzędu Stanu Cywilnego stawili się w efektownych, bogatych strojach hiszpańskich, a na przyjęcie weselne — w strojach rzymskich patrycjuszów. Po powrocie z Urzędu Stanu Cywilnego — przed domem weselnym młodą parę witała grupa przebawnych kłownów, którzy odegrali marsza weselnego na obrzymskich pantoflach domowych.

GODZINA SZCZYTU

„Express Wieczorny” stwierdza, że w godzinach szczytu w autobusach i tramwajach warszawskich na jednym metrze kwadratowym musi się pomieścić aż 10 osób!

75 - LECIE FILATELISTYKI W POLSCE

POLSKI ZWIĄZEK FILATELISTÓW należy do największych organizacji filatelistycznych w świecie. Liczy obecnie ponad 164 tysiące członków, w tym ponad 50 tysięcy młodzieży. Aczkolwiek ten dynamiczny rozwój nastąpił w ostatnim okresie 20 lat, to jednak ruch filatelistyczny w Polsce ma już bardzo bogatą tradycję.

Warunki polityczne, w jakich ziemie polskie znajdowały się w II połowie ubiegłego wieku, już po wprowadzeniu do obiegu pierwszych znaczków pocztowych, uniemożliwiały powstanie narodowej organizacji filatelistycznej. Zorganizowany ruch kolekcjonerów znaczków zrodził się dopiero pod koniec lat 90-tych.

Kolebką filatelistyki polskiej jest Kraków, gdzie dokładnie 6 stycznia 1893 roku, a więc 75 lat temu, powstał „Polski Klub Filatelistyczny”. W kwietniu następnego roku zaczął ukazywać się „Polski Filatelista” — „Miesięcznik poświęcony wyłącznie umiejętności marek, całości pocztowych i stempli” — tak głosił podtytuł. Było to pierwsze polskie pismo filatelistyczne.

I tak się zaczęło. W następnych latach powstały dalsze stowarzyszenia, powstawały i przemijały pisma. Z najważniejszych dat historii polskiego ruchu filatelistycznego wymienić należy:

- Pierwszy Kongres Filatelistów Polskich, który odbył się w lipcu 1910 roku w Krakowie, w 500 rocznicę bitwy pod Grunwaldem.

- Powstanie pierwszego Klubu Filatelistów w Warszawie w roku 1915.

- Zorganizowanie I Polskiej Wystawy Marek — w maju 1919 roku w Warszawie.

- Założenie „Związku Stowarzyszeń Filatelistycznych w Polsce” — w maju 1933 roku, na zjeździe w Toruniu. (Przystąpiły do niego stowarzyszenia filatelistyczne z Białej, Bielska, Bydgoszczy, Inowrocławia, Katowic, Kielc, Kołomyi, Krakowa, Lwowa i Torunia).

- Powstanie Polskiego Związku Filatelistów w czerwcu 1950 roku (I Zjazd w 1951 r.).

Jubileusz 50-lecia ruchu filatelistycznego w Polsce przypadł w okresie II wojny światowej i w warunkach tragicznej dla narodu okupacji hitlerowskiej, przeminął więc bez żadnego echa. Dopiero po wyzwoleniu, w Polsce Ludowej zorganizowano jubileuszowe obchody — 65-lecia, które przypadły w 1958 r., a więc po okrzepnięciu Polskiego Związku Filatelistów. Odbyły się one... z rocznym opóźnieniem.

W roku bieżącym przypada jubileusz 75-lecia polskiego ruchu filatelistycznego, obchodzony bardzo uroczysto przez filatelistów polskich i w Kraju, i na Wychoźstwie, gdzie istnieje wiele klubów filatelistycznych.

Inauguracyjne obchody odbyły się już 6 stycznia w Krakowie. W czasie wspólnego zebrania Zarządu Głównego PZF, Zarządu Oddziału Krakowskiego PZF i Komitetu Obchodów 75 rocznicy Ruchu Filatelistycznego w Polsce ogłoszono apel do wszystkich kół PZF w sprawie udziału w imprezach jubileuszowych oraz zatwierdzono program tych imprez. W maju br. odbyła się m.in. we Wrocławiu Wystawa Polskiej Literatury Filatelistycznej z okresu 75-lecia.

Główne imprezy odbędą się na jesieni. W Krakowie, w październiku otwarta zostanie wielka Ogólnopolska Wystawa Filatelistyczna „75 lat filatelistyki polskiej”, odbędzie się też sesja naukowa poświęcona problemom teorii filatelistyki i zagadnieniom naukowo-badawczym.

Felicja MICKIEWICZ

B IEN que passionnés, souvent jaloux de leur voisin, les philatélistes sont tout de même des gens sympathiques. Et pas misanthropes pour un sou puisqu'ils aiment se rassembler et s'unir dans le cadre de l'Union Polonoise de Philatélie. Rien qu'à Varsovie ils sont plus de 22 mille. Tous les dimanches matins ils se rencontrent (pas tous, heureusement) au siège du cercle numéro de l'Union, en plein coeur de la capitale, et là, ils procèdent à des échanges de timbres et ... d'opinions. C'est la grande aventure, car chacun est convaincu — autrement pourquoi se lever si tôt le dimanche — qu'il trouvera justement aujourd'hui la vignette lui manquant à sa collection. Cette réunion dominicale, qui a lieu été comme hiver, ne finit pas toujours par le succès espéré. Ce qui est cependant certain, c'est que des amitiés à toutes épreuves sont réalisées et qui durent souvent toute la vie. Et puis c'est là que disparaissent toutes les barrières sociales — déjà fortement ébranlées par la vie elle-même — à la même table on peut rencontrer un tramontain discutant avec un professeur d'université, un métallo présentant avec fierté ses dernières acquisitions à un ministre. Le timbre les unit tous. Et cela souvent à partir du plus tendre âge, car la philatélie n'a pas d'âge.



I zwykła lada chłodnicza może służyć za... przezroczystą kasę pancerną dla cennych okazów znaczków wystawionych do sprzedaży lub wymiany przez filatelistów

Ludzie przyjemnej pasji

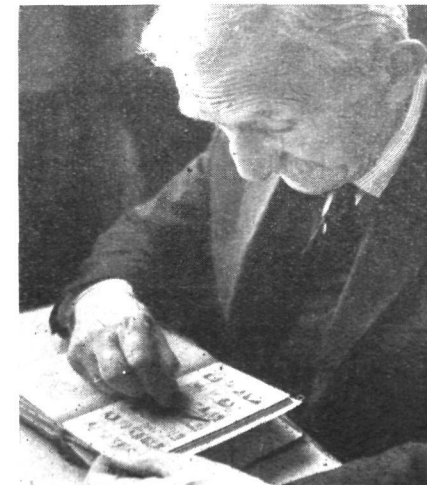


Znaczki pocztowe ucują i bawią. Zbieranie ich dostarcza wielu emocji i dużego zadowolenia i młodym i starszym kolekcjonerom



Każdy znaczek można oglądać setki razy, z takim samym upodobaniem i ciekawością.

Pan Stefan Łukawski z Warszawy liczy 85 lat. Odziedziczył pasję zbierania znaczków po ojcu. Zbiory nie przetrwały kataklizmów wojennych, ale pasja pozostała



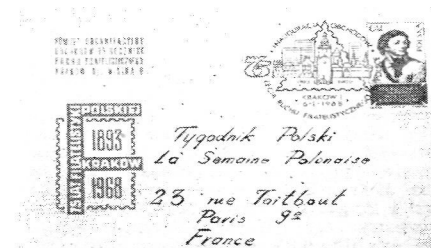
NAJWIĘKSZY w Kraju warszawski oddział Polskiego Związku Filatelistów liczy ponad 22 tysiące członków. Ludzie owładnięci namiętną i szlachetną pasją zbierania znaczków pochodzą z różnych kręgów społeczeństwa; są to przedstawiciele wszystkich zawodów, profesorowie i robotnicy, lekarze i rzemieślnicy, młodzi i starsi. Spotykają się w kołach przyzakładowych (największe działy przy Hucie Metali Nieżelaznych „Warszawa”), w kołach środowiskowych (np. bankowcy przy Narodowym Banku Polskim, wojskowi — przy garnizonowym klubie oficerskim). Największym kołem terenowym w stolicy Polski jest koło nr 1 w dzielnicy śródmiejskiej, skupiające 1645 członków. Mieści się przy ulicy Mysiej 2, utrzymuje kontakty zagraniczne, organizuje giełdy i aukcje znaczków, prowadzi szeroką działalność propagandową, patronuje wielu kołom młodzieżowym, organizuje pokazy znaczków i odczyty dla filatelistów.

W każdą niedzielę od wczesnych godzin zacierają w kierunku siedziby koła nr 1 z całej Warszawy i okolic filateliści doświadczeni i początkujący, amatorzy najciekawszego i najpopularniejszego z wszystkich rodzajów kolekcjonerstwa. Na sali panuje przytulny gwar (zawsze przebywa tu od 400 do 600 osób). Na stołach leżą klasery, koperty, znaczki wszystkich krajów świata. Rozmawia się tylko o filatelistyce, znaczkach, stemplach, nalepkach, kartach, ząbkach, błędodrukach, prowadzi pertraktacje w sprawie wymiany, uczestniczy w aukcjach.

Filateliści mogą o znaczkach rozmawiać nieskończenie długo, zwłaszcza obecnie w jubileuszowym roku 75-lecia ruchu filatelistycznego w Polsce. Chociaż znają wzajemnie swoje zbiory i upodobania, nie nudzą się we własnym gronie ani przez chwilę. Każdy z filatelistów przegląda swoje znaczki tysiące razy. Muszą być starannie wietrzone. Niektórzy twierdzą nawet, że nie oglądane tracą wartość.

Filateliści najbardziej lubią... pomyłki wydawców i wszelkie błędodruki. Znaczkami z błędami osiągają niekiedy zawrotne ceny. Są przez pocztę natychmiast wycofywane, ale pewna ich ilość trafia do filatelistów. W zbiorach polskich znaczków znaleźć można znaczki z wizerunkiem motorowego statku transatlantyckiego, z którego... buchają kłęby gęstego dymu, jak z parowca, jest znaczek z żaglowcem przycumowanym w porcie, ale z...wydętymi na wietrze żaglami. Najwięcej radości dostarczyła filatelistom seria „Świat pracy”, wydana zaraz po wojnie (w roku 1946), w której m. in. górnik był bosy, kosiarz nieprawidłowo pochylony, hutnik był mańkatem. Te nie dość dokładnie opracowane znaczki Poczta Polska drukowała wówczas w Paryżu, ponieważ w Kraju nie było jeszcze wtedy zakładu posługującego się techniką stalorytniczą.

Zdarzają się też znaczki fałszywe, podrabiane. Początkujący filateliści często zwracają się o pomoc do eks-



Koperta wydana na inaugurację obchodów 75-lecia ruchu filatelistycznego w Polsce

pertów. W siedzibie koła nr 1 przy stoliku komisji naukowo-badawczej prof. Antoni Łaskiewicz ogląda długo i uważnie każdy znaczek zgłoszony do ekspertyzy. Do grona wybitnych znawców znaczków zaliczają się także w Warszawie dr Józef Tislowitz, mecenas Maciej Perzyński i Tadeusz Gryżewski.

Do seniorów ruchu filatelistycznego należą m. in.: Stefan Łukawski, b. sekretarz Zrzeszenia Polskich Towarzystw Filatelistycznych przed wojną, organizator ruchu filatelistycznego w Warszawie po wojnie; sędziwy Stanisław Adamski oraz Jan Kołpak — posiadacz znanego w świecie i najwyższej ocenianego zbioru polskich znaczków. Zdobył na kolejnych międzynarodowych wystawach filatelistycznych trzy wielkie złote medale i zaliczony jest do wąskiego grona klasy honorowej Międzynarodowej Federacji Filatelistycznej.

Podczas spotkania członków warszawskiego koła filatelistycznego nr 1 spaceruje wśród stolików Stanisław Doliński z Jeziorny, z zawodu listonosz, posiadacz najlepszego w Kraju zbioru znaczków polskich i stempli pocztowych z okresu tzw. pierwszej Polski (lata sześćdziesiąte ubiegłego wieku). Jest to drugi co do wielkości zbiór tych znaczków w Europie. Największy jest własnością Mirosława Bojanowicza mieszkającego w Londynie.

Znaczki polskie zbiera i kompletuje blisko 80% warszawskich filatelistów, ale są i posiadacze pięknych zbiorów znaczków innych krajów, najczęściej państw sąsiadujących z Polską. Coraz bardziej popularne stają się jednak zbieractwo specjalistyczne. W filatelistyce panuje również moda. Niedawno modne były serie poświęcone zdobyczom kosmicznym, w latach olimpijskich wraca moda na znaczki o tematyce sportowej, zawsze wielkim powodzeniem cieszą się zbiory poświęcone okazom fauny i flory (tu notuje się jeszcze weźsze zainteresowania, np. rośliny lecznicze). Ale ulubionym tematem jest już od lat malarstwo. W tej dziedzinie na całym świecie ukazują

Dokończenie na str. 16



Z. Krzyszkowiak w biegu na 3000 metrów z przeszłości zdobył złoty medal na Olimpiadzie w Rzymie w 1960 r.



Dwukrotny zdobywca złotego medalu olimpijskiego w trójskoku Polak Józef Schmidt — rekordzista świata



„Złota Ela” — Elżbieta Krzesińska zdobyła złoty medal w skoku w dal na Olimpiadzie w Melbourne w 1956 r.

Notatnik sportowca

PLYWANIE

MONTCEAU-les-MINES. Brevet pływackie zdobyli ostatnio: Chantal Konieczny, Marie-Françoise Jankowska, Jacques Jankowski, Pascal Paszek, Daniel Piętko, Jocelyne Biatnik, Jocelyne Romala.

LENS. W ramach rozgrywanych zawodów pływackich uzyskali „brevet de natation”: Andrzej Rybarczyk, Dominique Durczak, Francis Zacharzewski, Christian Modrzejewski, Chantal Jurdecka, Françoise Wloch, J.-Paul Breźniak, Piotr Fiorek, Bernadette Kica, Noëlle Sobkowiak.

MONTCEAU-les-MINES. W konkursach indywidualnych o mistrzostwo dep. Saône-et-Loire wyróżnił się Alfred Sulewski, zdobywając dwa tytuły mistrzowskie oraz Anne-Lise Sulewska, która była druga w kat. minimek na 100 m stylem grzbietowym.

NOEUX-les-MINES. Brevet pływackie uzyskali na podstawie wyników ostatnio przeprowadzonych zawodów: Freddy Zienkiewicz, Claude Szafarczyk, Jean-Marie Rudzki, Mimika Owczarczak, Francis Tomaszewski.

PILKA NOŻNA

ST. VALLIER. Miejscowy klub sportowy „St. Vallier Sports” rozpoczął treningi przedsezonowe pod kierunkiem doświadczonego trenera p. Bronisława Ratajczaka, któremu pomagać ma p. Matisse.

BRUAY-en-ARTOIS. Nowymi nabytkami tutejszego klubu polsko-francuskiego „Olympia” na nadchodzący sezon są m.in. Wróbel i Kowalski z U.S.B. Bezonak i Majka z klubu Clarence. Obecnie klubem kieruje p. Baranowski, jako prezes, mając do pomocy p. Jana Tomczaka, jako sekretarza, p. C. Pruskiego, jako skarbnika i p. Krawczyka, odpowiedzialnego za młodzież klubową.

MERLEBACH. Merlebach — Creutzwald 6:1. Pierwszy w tym sezonie mecz drużyny Merlebach wykaźał bardzo dobrą formę Maleski, który w bardzo ładnym stylu zdobył trzy bramki.

LEKKA ATLETYKA

BRUAY-en-ARTOIS. W ramach spotkania młodych lekkoatletów francuskich i nie mieckich Henryk Warczygłowa zajął drugie miejsce w rzucie młotem przed kolegą klubowym Accambay, który jego dotychczas zawsze dystansował. Inny reprezentant północy Francji E. Wichniarek był również drugim w biegu na 1500 m. Po raz trzeci Warczygłowa reprezentował ma Francję na mistrzostwach młodzieżowych Europy w Lipsku. Życzymy serdecznie sukcesu.

KOLARSTWO

LIEVIN. W urządzonym z okazji święta lokalnego wyścigu kolarskim w Angres Białobłocki z Bully-les-Mines zajął miejsce 7.

AULNOYE. W dużym wyścigu kolarskim Aulnoye-Aymyeries J. Zołopa z CC Aulnoye zajął miejsce 13, a Szymimowski z AC Avesnes 13.

MADELEINE. Nowy talent kolarski północy Francji Christian Palka wygrał wyścig w Madeleine na trasie 120 km.

LUDZIE PRZYJEMNEJ PASJI

Dokończenie ze str. 15

się najpiękniejsze serie znaczków. Dlatego też wydana ostatnio seria polska sławnych obrazów cieszy się wielkim powodzeniem nie tylko w Kraju.

Zdarzają się często bardzo osobliwe zainteresowania. Są i tacy filatelisci, którzy zbierają znaczki ze znanymi osobistościami, które... zginęły gwałtowną śmiercią. Jest takich znaczków podobno kilkanaście. Są wśród filatelistów amatorzy listów z nadrukami... adresat nieznanym (w różnych językach).

Niektóre znaczki wywołują sensację światową i wciągają w krag zainteresowań filatelistycznych najbardziej nieoczekiwane środowiska i grupy ludzi. Tak było na przykład ze słynną serią polskich znaczków „Koty”. A już wprost zawrotną karierę zrobił „śmiejący się kotek” (na znaczku o wartości 40 groszy). Nabywały go masowo stare Angielki, miłośniczki kotów, chociaż nigdy w życiu nie interesowały się znaczkami pocztowymi, a tym bardziej filatelistyką.

W tłumie filatelistów spotkać można rozmaitych ludzi. Zwracają uwagę oczywiście ci najbardziej znani. Na spotkania koła nr 1 przychodzą m. in. prof. Jerzy Jodłowski, szef Kancelarii Rady Państwa, popularni aktorzy warszawscy — Elżbieta Barszczewska i Jarema Stępowski, znana piosenkarka Irena Santor i wielu innych. Pasja zbierania znaczków jest zaraźliwa i wciągnąć potrafi każdego. Na przykład pilot Stanisław Skalski już po raz trzeci w życiu powrócił do zbierania znaczków (ostatnio zbierał znaczki o tematyce kosmicznej). Zamierza porzucić filatelistykę, ale powszechnie wiadomo, że kto raz zakosztował przyjemności zbierania znaczków, ten nigdy już z tym nie zrywa.

Udział polskiej ekipy narodowej w eliminacjach (4)

W MELBOURNE I RZYMIE — 30 MEDALI

ROK 1956. XVI Olimpiada zorganizowana została w dalekiej Australii, w Melbourne. Znalezione środki na wysłanie dość licznej ekipy, która powróciła do Kraju z bagażem dziewięciu medali. Bohaterką była Elżbieta KRZESIŃSKA, rosła dziewczyna z długim warkoczem. W skoku w dal zdobyła dla polskich barw złoty medal, piątą w historii startów olimpijskich Polaków (wcześniej złote medale zdobyli Halina Konopacka, Janusz Kusociński, Stanisław Walasiewicz i Zygmunt Chychła). „Złota Ela”, ówczesna rekordzistka świata, osiągnęła wynik 6,35 m. Polska flaga po-

wędrowała na najwyższy maszt olimpijski.

Cztery medale srebrne wywalczyli: oszczepnik Janusz SIDŁO, strzelec Adam SMELCZYŃSKI (strzelanie do rzutków), szablista Jerzy PAWŁOWSKI i drużyna szablistów (Marek Kuszewski, Zygmunt Pawlas, Jerzy Pawłowski, Andrzej Piątkowski, Wojciech Zabłocki i Ryszard Zub). Brak rutyny odebrał Sidle i Pawłowskiemu wielką szansę zdobycia złotych medali, ale i srebrne były dużym sukcesem.

Brazowe medale zdobyli bokserzy: Henryk NIEDZWIECKI w wadze piór-

kowej i Zbigniew PIETRZYKOWSKI w wadze lekkośredniej (stoczył on porywający i wyrównany pojedynek z późniejszym mistrzem świata zawodowców Clayem). Brazowy medal wywalczył ciężarowiec Marian ZIELIŃSKI i drużyna gimnastyczna kobiet (Dorota Jokieli, Natalia Kotówna, Helena Rakoczy, Danuta Stachow, Lidia Szczerbińska, Barbara Sliżowska).

W sumie drużyna polska zdobyła 9 medali, a więc dobry bilans.

ALE DOPIERO Rzym i XVII Igrzyska Olimpijskie były dla Polaków naprawdę szczęśliwe.

Ekipa polska wywalczyła wysoką lokatę wśród sportowców potęg świata i powróciła z 21 medalami. Byli wśród nich aż cztery złote. Serię rozpoczął Zdzisław KRZYSZKOWIAK w biegu na dystansie 3000 metrów z przeszłości. Widownia Stadio Olimpico oglądała wielki pojedynek. Imponujący finisz i zwycięstwo Polaka przyjęła gromkimi brawami. Drugim bohaterem tych Igrzysk był Józef SCHMIDT. Rekordzista świata w trójskoku (17,03 m) zdobył bez trudu złoty medal wynikiem 16,81 m. Bokser Kazimierz PAZDZIOR (waga lekka) pokonał liczną stawkę najlepszych pięściarzy świata i wywalczył trzeci złoty medal dla Polski. Cztery zaś zdobył Ireneusz PALIŃSKI, ciężarowiec wagi półciężkiej. Czterokrotnie publiczność rzymska słuchała „Mazurka” Dąbrowskiego, a Polacy przeżywali po raz pierwszy tak wielki triumf.

Sześć medali srebrnych wywalczyli: bokserzy Jerzy ADAMSKI, Tadeusz WALASEK (wyrażnie skrzywdzony przez sędziów, ponieważ walkę wygrał w pięknym stylu) i Tadeusz PIETRZYKOWSKI, Elżbieta KRZESIŃSKA (w skoku w dal — 6,27 m), Jarosława JÓZWIAKOWSKA w skoku wzwyż 1,71 m (była to wielka, radosna niespodzianka olimpijska) oraz sławna polska drużyna szablistów (Marek Kuszewski, Emil Ochrya, Jerzy Pawłowski, Andrzej Piątkowski, Wojciech Zabłocki, Ryszard Zub).

Polacy zdobyli w Rzymie aż 11 medali brązowych. Na listę medalistów, wpisali się bokserzy: Brunon BENDIG, Marian KASPRZYK i Leszek DROGOSZ (ekipa bokserska zdobyła aż 7 medali — spisała się znakomicie). Brazowe medale wywalczyli: Kazimierz ZIMNY na 5000 m, Tadeusz RUT w rzucie młotem, żeńska sztafeta 4 × 100 metrów (Polki zaczęły od tej Olimpiady biegać coraz szybciej), Daniela WALKOWIAK w kajakach jedynekach oraz Stefan KAPŁANIAK i Władysław ZIELIŃSKI w dwójkach również na kajakach, a także w jedynkach wioślarskich Teodor KOCERKA. Miłą niespodziankę sprawili też — Tadeusz TROJANOWSKI w zapasach (waga kogucia) i ciężarowiec Jan BOCHENEK (waga półciężka), który uległ tylko najlepszemu w tej wadze również Polakowi Palińskiemu.

21 medali z Rzymu bardzo podniosło reputację polskiego sportu w świecie. Odtąd Polska zaczęła liczyć się w tabeli najlepszych ekip olimpijskich. Ale prawdziwą sensacją miała dopiero nastąpić za cztery lata w roku 1964 w Tokio.

(d.c.n.)

GÓRNIK PO KOLUMBIJSKICH SUKCESACH

Piłkarska drużyna Górnika z Zabrza tuż przed inauguracją nowego sezonu ligowego odniosła efektywny sukces po drugiej stronie Oceanu w stolicy Kolumbii Bogocie, zwyciężając w turnieju „Heksagonal” pięć dobrych zespołów. W meczach tych Górnik zremisował 2:2 z olimpijską reprezentacją Kolumbii i uległ klubowi Deportivo Cali 1:2. Resztę spotkań rozstrzygnął na swoją korzyść, zdobywając ostatecznie pierwsze miejsce w turnieju i piękny puchar.

Wojaz zabran za Ocean rozpoczął się udanym startem w Chicago, gdzie Ślązacy pokonali zawodową drużynę Mustang 3:2. W zespole amerykańskim Mustangów grało dwóch byłych polskich ligowych piłkarzy — Leśniak (w bramce) i Kowalik (w ataku). Po turnieju bogockim Górnik wystąpił ze zmiennym szczęściem w San Salvadorze, w Gwatemali i Nowym Jorku, robiąc jednak doskonale wrażenie i mając dobrą prasę. Głównym celem wypadu Górnika był oczywiście międzynarodowy turniej „Heksagonal” w Bogocie, zakończony, jak już pisaliśmy, pełnym sukcesem.

Do Ameryki pojechało z Zabrza 17 najlepszych graczy — z Floreńskim, Oślizio, Kubańskim, Kostką, Kuchtą, Gomolą... 5 osób kierownictwa, wśród

Lubański (z prawej) walczy o piłkę z reprezentantem czechosłowackiej Dukli podczas słynnego meczu o Puchar Europy, który miał miejsce w 1964 roku na Stadionie Śląskim w Chorzowie i zakończył się zdecydowanym zwycięstwem Polaków 3:0.



nich prezes Górnika Eryk Wyra i trener Węgier Geza Kolocsa.

W Kraju międzynarodowe występy Górnika cieszą się ostatnio, a szczególnie po zmaganiach interligowych z Manchester Union, ogromnym zainteresowaniem. Powracającym piłkarzom warszawscy i katowiccy kibice zgotowali wielką owację.

Górnik niemal wprost z katowickiego lotniska wyruszył do boju w rozpoczętym właśnie nowym sezonie ligowym 1968/69. Jego zwolennicy i entuzjaści obserwują z pewnym niepokojem pierwsze ligowe kroki zabran po dalekiej i męczącej podróży.

Po pięciokrotnym kolejnym triumfach ligowych, Górnik, tym razem ulokował się na trzecim miejscu tabeli ekstraklasy. Przypominamy, że mistrzostwo na sezon ligowy 1967/68 zdobył chorzowski Ruch przed warszawską Legią i Górnikiem.

Górnik to stosunkowo młoda drużyna ligowa. Uczestniczył w tych mistrzowskich rozgrywkach zaledwie 14 raz. Bez przerwy od pierwszego sezonu ligowego, tj. od 1927 roku gra natomiast drużyna chorzowskiego Ruchu.

Kierownictwo Górnika jest najlepszej myśli o ligowych zmaganiach, które już się zaczęły. Wierzy ono, że tytuł mistrza Polski, który przez pięć sezonów z rzędu nie opuszczał Zabrza, znów powróci do Górnika. Innego zdania są natomiast kierownicy konkurencyjnych zespołów. I dlatego tegoroczna „zabawa w ligę” może być arcyciekawa.

Powracając jeszcze do niedawnego tak udanego występu Górnika za Oceanem, zacytujemy wypowiedź prezesa tego klubu p. Eryka Wyry. Po powrocie do Kraju oświadczył on między innymi:

— Nasze sukcesy w turnieju zawdzięczamy przede wszystkim dobremu przygotowaniu drużyny, kondycji zawodników oraz stosowaniu gry zespołowej. Na tle świetnie wyszkolonych technicznie, hołdujących grze indywidualnej naszych przeciwników, zespołowy styl walki zabran zdał egzamin celująco.

Warto także podkreślić — dodał prezes Wyra — sympatię, jaką darzyła miejscowa publiczność Polaków, i bardzo pozytywną opinię kolumbijskich sprawozdawców sportowych. (et)

Adam KRÓLIKIEWICZ



Znakomity polski olimpijczyk, zmarły przed dwoma laty pik Adam Królikiewicz pozostawił ciekawe wspomnienia. W poprzednich dwóch numerach wydrukowaliśmy fragmenty, w których autor opowiada o pierwszych w ogóle próbach dosiadanania konia. Nie wróżyły one, że z chłopca wychowanego w mieście wyrośnie kiedyś świetny jeździec olimpijski. W opowiadaniu poniżej jest mowa o pierwszym konkursowym koniu Królikiewicza, któremu nadał imię „Jasiek”.

„JASIEK” i jego przeszłość

WZRUSZAJĄCE objawy głębokiego sentymentu oraz braterskiego, bezinteresownego uczucia (inaczej zresztą być nie mogło), okazywanego „Małgosi” przez „Jaśka” i odwrotnie, ujęły serca wrażliwych na to szwaleców. Rozkaz dowódcy postanawiał, by nie rozłączać tej kochającej się pary. Tak oto „Jaś” i „Małgosia” mogli nadal być blisko siebie, a chodząc w jednej dwójce szeregu, bok przy boku, strzeżenie przy strzeżeniu, znośli cierpliwie, z pogodą i kawalerskim animuszem dolę i niedolę żołnierskich trudów.

Przy boku „Małgosi” zaczął „Jasiek” nowe, pełne przygód i nieznanych losów dzieje. Nie obca mu była żołnierka. O jego przygotowaniu do żołnierskiego życia, do włości, którą jak się okazało, uprawiał z zamiłowaniem — świadczyło nie tylko zrozumienie karności, posłuszeństwa i porządku, lecz również dokładna znajomość musztry oraz umiejętność właściwego zachowania się i obycia w różnych okolicznościach wojskowej służby, które to zalety nabył poprzednio w szeregach austriackich.

Koń ten miał już wtedy bogatą przeszłość. Widać było, że z niejednego pieca chleb jadł, nie jeden w swym życiu ogryzł żłób. Niewątpliwie znał się też na rozmaitych rodzajach broni, w niejednym służył pułku, niejedną kraj przemierzył swymi sprężystymi, pracowitymi nogami, a na swym grzbiecie niejednego nosił jeźdźca. Ślady swej poprzedniej służby w ułanach, huzarach węgierskich, a nawet w artylerii konnej miał wypalone na udzie i na szyi. Choć niedużego wzrostu, był bardzo szybki, wytrzymały i dzielny. Dał się łatwo prowadzić. Odnaczał się lekkim, bardzo przyjemnym ruchem. Jednym słowem, okazał się doskonałym frontowym koniem. Toteż w szybkim tempie zaawansował zasłużenie pod siodło dowódcy szwadronu, a gdy ten poległ w bitwie, „Jasiek”, odprowadzwszy go na miejsce wiecznego spoczynku, dostał się mnie.

Odkomenderowany na skrócony kurs dowódców szwadronów w Starej Wsi pod Warszawą zabrałem tam ze sobą „Jaśka”. I tutaj, w nowych warunkach surowej dyscypliny, na zjeżdźalni i w terenie, na ćwiczeniach bojowych i w sportowej jeździe, „Jasiek” okazuje się pierwszorzędnym wierzchowcem. Nie jego było winą, że nosił na swym grzbiecie stosunkowo słabego jeźdźcę. Nie zrażony tym służył mi ofiarnie według swych najlepszych chęci i możliwości. Najlepszym tego dowodem było zdobycie przez nas 4 miejsca w konkursach hipicznych zorganizowanych na zakończenie kursu. Była to w moim życiu pierwsza tego rodzaju zorganizowana i sędziowana przez fachowców impreza sportowa. Startowałem w niej w towarzystwie groźnych współzawodników — dobrze zapowiadających się jeźdźców oraz koni dużo lepszych od mego pocziwego „Jaśka”.

Niespodziewany dla mnie, a myślę, że również dla moich kolegów, wynik — czwartą nagrodę — zawdzięczam głównie „Jaśkowi”, który zwrócił mi uwagę na swe nowe, ukryte zdolności sportowe w skokach przez przeszkody. Tym bardziej było to zaskoczeniem, że podczas całego kursu instruktorzy nie rokowali mi absolutnie żadnych nadziei na jakiegokolwiek osiągnięcia jeździeckie. Jeżeli cokolwiek zwracałem ich uwagę, to chyba tylko rekordową ilością upadków, tzw. rozłączeń się z koniem, które wywoływały uśmiech politowania kolegów i instruktorów. Cierpiąca z tego powodu moja ambicja i boleśnie nieraz odczuwałem nie tylko upadki z konia, lecz równocześnie uśmiechy i żarty, które przypisywały przyczynę upadków mojemu świeżo zawartemu małżeństwu.

I oto nagle wyczyn kochanego „Jaśka” odsłania przede mną horyzont nowych możliwości i zainteresowań sportowo-jeździeckich, dając mi zachętę do wytężonej pracy. Dzięki „Jaśkowi” miałem się stać jeźdźcą, który przerósł swe własne ambicje i aspiracje.

NA WARSZAWSKIM torze wyścigowym w 1920 roku czyniono przygotowania do pierwszych wielkich pokazów jeździeckich, tzw. konkursów hipicznych. Miał to być przed zakończeniem treningu egzamin konnej grupy olimpijskiej z jej kierownikiem i świetnym jeźdźcą — majorem K. Römmlem na czele.

Wbrew realnym podstawom zdecydowałem się wystąpić również na tych zawodach, oczywiście łącznie z „Jaśkiem”, a raczej przy jego wybitnym udziale. Był to krok podyktowany wiarą w tego konia, zwykle młodzieńcze niecierpienie się z beznadziejnością uzyskania jakichkolwiek szans. Czekając nas trudny egzamin w konkurencji wytrawnych jeźdźców grupy olimpijskiej, przekraczający moje umiejętności i doświadczenie. Biorąc to pod uwagę, trzeba stwierdzić, że postanowienie moje było beznadziejnym porywem.

Świadomość walki z naszymi najlepszymi jeźdźcami i końmi gotowymi do Igrzysk Olimpijskich powinna wpłynąć na mnie deprymująco. Może jednak dzięki niezadawaniu sobie sprawy z powagi mego zamierzenia, nie podobnego nie odczuwałem.

Na tle ogromnego, zielonego pola mokotowskiego, na niewielkiej przestrzeni, na wprost głównych trybun rozrzucono kilkanaście przeszkód różnego typu, obramowanych kolorowymi poręczkami pułków naszej kawalerii. Długa i kręta trasa przebiegu oraz przeszkody poważnych rozmiarów wymagały od konia dużej odwagi, wysiłku i pewności skoku, zwrotności i posłuszeństwa, a od jeźdźcy umiejętności sportowo-jeździeckich, opanowania konia, dużego doświadczenia i rutyny.

Publiczność warszawska, cały świat jeździecki, amatorzy, miłośnicy i sympatycy konia, mającego u nas w owym czasie tak wielkie znaczenie i tradycje — przybyli tego dnia na pierwsze wielkie zawody konne. W loży honorowej przedstawiciele rządu i wojska.

Spośród kilku przewidzianych w programie konkursów skoków przez przeszkodę, najcięższą próbą — gwóźdźmiem sezonu — był Wielki Konkurs Myśliwski o Nagrodę Naczelnego Wodza.

Ciekawym przyczynkiem do historii konkursów hipicznych w Polsce jest fakt, że w czasie tych zawodów po raz pierwszy i jedyny zastosowano grę w totalizatora. Najniższa stawka wynosiła 10 marek polskich.

W gromadzie koni o wyszukanych, przeważnie cudzoziemskich i wiele obiecujących nazwach — skromny polski „Jasiek” ze swoim młodym, nie-doświadczonym i nie znanym nikomu jeźdźcą nie wzbudzał zaufania ani swym niepokaźnym wzrostem, ani tym bardziej swą zupełnie pospolitą, polską nazwą. Któż mógł liczyć i grać na „Jaśka”? Jasne, że nikt prócz samego chyba jeźdźcy. Mówiono, że nie wypada stawić na swego konia, że nie jest to przyjęte. Postąpiłem jednak wbrew tym zwyczajom i zaopatrzyłem w bilet dosiadłem „Jaśka”.

Gdy przyszła na nas kolej, odsalutowałem przed lożą honorową i na sygnał trąbki rozpocząłem mój pierwszy publiczny występ na warszawskim torze w konkursach o tak dużym znaczeniu. Szybkim, równym galopem ruszył „Jasiek” naprzeciw rosnącym w oczach przeszkodom. Kładąc się niemal na ostrych zakrętach, ścinając je, łapałem czas. Dzięki „Jaśkowi” fruwałem ponad licznymi przeszkodami, pamiętając o ich kolejności i trasie dość zagmatwanego biegu. Nie mając wówczas żadnego doświadczenia, instynktownie wycozywałem jedną z najważniejszych zasad, od której szczególnie u młodych jeźdźców w dużej mierze zależy wykonanie przez konia dobrego i pewnego skoku. Jest nią umiejętność, jeżeli już nie prawidłowego podążania i niespóźniania się za ruchem konia — czego nabiera się z czasem — to przynajmniej nieprzeszkadzania mu w skoku. Ta umiejętność znaczy bardzo wiele. Może nawet niekiedy stanowić o zwycięstwie, gdy koń wie, czego się od niego żąda, a jeździec zaufa mu i nie przeszkodzi. Toteż dobre, kochane zwierzę „Jasiek” — niosąc młodego jeźdźcę, zdającego się z pełnym zaufaniem na jego końskie zdolności i inicjatywę — parł weśolo naprzód, bez wahania zostawiając za sobą bezbłędnie przebyte przeszkody. Byłem w jakimś radosnym i beztróskim upo-

jeniu i anim się obejrzał, jak trudny egzamin miałem już za sobą. Ponieważ z dużej ilości jeźdźców i koni biorących udział w konkursie podobny wynik osiągnęło jeszcze kilku innych, a między nimi ogólny faworyt na zwycięzcę, znany zawodnik, K. Römmel — zarządzono dodatkową rozgrywkę. Wówczas wspaniała „Jasiek”, bijąc wszystkich swych groźnych przeciwników, pokazał lwi pazur najlepszemu w tym konkursie skoczka. Udowodnił swą nieprzeciętną klasę i wybitne walory, wzbudzając ogólne zainteresowanie i podziw zdumionych znawców sportu hipicznego. Tym wynikiem zaskoczył wszystkich, a najwięcej mnie.

Łatwo sobie wyobrazić, jak serce biło mi z radości i dumy, gdy przy dźwiękach hymnu narodowego odbierałem cenną nagrodę — pamiątkowy puchar, a „Jasiek” zaszczytną wstęgę zwycięstwa. Totalizator wypłacił aż 431 marek za 10. Była to druga wielka niespodzianka w związku z nieoczekiwanym zwycięstwem „Jaśka” nad kandydatami na Igrzyska Olimpijskie. Jak się okazało, na nieprzewidzianego zwycięzcę wykupiono tylko dwa bilety. Drugą osobą, która wierzyła w talent „Jaśka”, był wachmistrz — szef mego szwadronu.

„Jaśkowi” zawdzięczam bogactwo przeżytych radosnych, pełnych emocji chwil, barwnych, niezwykłych wrażeń, które zostawiły trwałe ślad nie tylko w moich osobistych wspomnieniach. Pamięć naszych startów jest dzisiaj jeszcze żywa szczególnie w Nicei i w Rzymie. Świetność jeździecstwa polskiego notowana jest na kartach historii rozwoju międzynarodowego sportu konnego oraz w kronikach olimpijskich.

MIELIŚMY z „Jaśkiem” przedziwne szczęście do najcenniejszych sportowych nagród polskich. Oto bowiem już w następnym, 1921 roku, w czasie wielkich dorocznych konkursów hipicznych urządzanych w Warszawie, po raz drugi zdobywamy: „Jasiek” piękną wstęgę, a ja drugi z kolei puchar. Po raz wtóry na torze, współzawodnicząc z elitą jeźdźców krajowych, na czele których stał major K. Römmel, oraz dwoma oficerami kawalerii włoskiej, powtarzamy, już teraz nieprzypadkowo, wielki sukces ubiegłego roku.

Tak poczynił sobie „Jasiek” u progu naszej kariery sportowej, mając za sobą trudy wojenne i około 16 lat życia; to znaczy, będąc w wieku, w którym konie wojskowe obowiązkowo przechodzą w stan spoczynku.

Biorąc w roku 1922 udział w zawodach konnych w Piotrkowie, w czasie rozprężania „Jaśka”, tuż przed startem zauważyłem jakiegoś pana uporczywie i badawczo przyglądającego się nam obojgu. Po pewnej chwili ów pan podszedł do mnie i wskazując na „Jaśka” powiedział — to przecież jest „Mantel”. Chcąc go wyprowadzić z błędu wyjaśniłem, że koń mój nazywa się „Jasiek”, a nie „Mantel”. Na co usłyszałem odpowiedź.

— *Może pan porucznik nazywać go „Jaśkiem”, lecz ja tego konia doskonale znam i nie mylę się na pewno. W roku 1909 jako oficer 1 pułku austriackich ułanów, w którym służyłem, przyjmowałem tego konia, anglo-araba hodowli węgierskiej, do wojska jako remonta (młody koń-rekrut) — udzielał dalszych informacji o „Jaśku” nieznamymy.*

— *To na pewno „Mantel”. Zresztą zaraz się przekonamy, musi mieć na szyi znaki.*

Istotnie, „Jasiek” miał ich wiele, znacznie więcej, niż to zwykle bywa u konia służącego w wojsku w normalnych, pokojowych czasach. Miał je na lewym udzie, a oprócz tego kilka z nich było ukrytych pod grzywą. Gdy ją odgarnęliśmy, jednym z pierwszych był palony znak podany przez mego rozmówcę. Ucieszyłem się tą informacją o nie znanym mi okresie życia „Jaśka”. Jako koniarze uzupełniliśmy sobie luki w kolejach losów tego konia. Pozwoliło to na określenie trudnego do ścisłego ustalenia wieku „Jaśka”, ponieważ tzw. rejestry (wręby na zębach), według których można zorientować się dokładnie o wieku konia do lat 12, były już wszystkie starte. Zatem „Jasiek” — brany w roku 1909 do wojska w czwartym roku życia — musiał mieć w chwili startu w Piotrkowie siedemnaście lat.

Osobą o tak niezwyklej pamięci był hodowca i wielki znawca koni pan Z. Horodyński.

W następnym numerze:
ZŁOTA PAPIEROŚNICA
DLA DOBRZAŃSKIEGO-HUBALA
Adama Królikiewicza

Mandolina jest to instrument muzyczny o czterech podwójnych strunach metalowych: dźwięki wydobywa się przez szarpanie strun rogową płytką. Tak powiada słownik. Ale w Houdain (Pas-de-Calais) słowo mandolina nie kojarzy się ludziom ze strunami metalowymi ani z żadną płytką, tylko z „Sonorą”. „Sonora” jest to zespół mandolinistów.



MANDOLINIŚCI z HOUDAIN



SONORĘ założyli w r. 1935 nieżyjący już dziś górnicy polscy, Westfalacy. Początkowo było ich piętnastu, obecnie jest dwudziestu mandolinistów. Początkowo grali w „Sonorze” sami tylko górnicy i sami tylko Polacy. Dziś natomiast obok emerytowanych górników, którzy do „Sonory” należą od lat już niekiedy trzydziestu, grają w zespole także i licealiści. Pośród członków „Sonory” są zarówno mandoliniści pochodzenia polskiego, jak i rodowici Francuzi.

Lata biegnęły, czasy się zmieniały, ale w Houdain miłośnicy mandoliny trwali przy swym ukochanym instrumencie uparcie. Niech tam sobie kto chce przestawia się na elektryczne czy inne gitary lub jeszcze bardziej modne instrumenty. „Sonora” zawsze pozostanie przy mandolinach. Jej ludzie naprawdę kochają swoje instrumenty.

A gdy grają na mandolinach, wydaje się, że mandoliny odpłacają się im wzajemnością.

Obecnie prezesem „Sonory” jest p. Rutkowski. Do zarządu należą również pp. Biegański, Ciesielski i Skalka. P. Biegański jest sekretarzem, p. Ciesielski — skarbnikiem, p. Skalka — dyrygentem i duszą zespołu, i to od bardzo wielu już lat.

Na repertuar „Sonory” składa się nie tylko muzyka rozrywkowa, walece, marsze itd., ale także i muzyka poważna, klasyczna. — *Naszym celem jest nie tylko rozrywka, ale także i upowszechnienie kultury muzycznej i kultury w ogóle* — mówi p. Rutkowski.

„Sonora” jest bardzo lubiana i ceniona w Houdain. Co roku koncertuje ona na tradycyjnych lo-

kalnych imprezach — na „repas des Vieux”, na „Noël des Enfants”, na francusko-polskiej imprezie gwiazdkowej organizowanej przez stowarzyszenie „France-Pologne” itd.

Ale „Sonora” produkuje się nie tylko w Houdain. Mandoliniści z Houdain wyrobili sobie dobrą i trwałą markę w wielu miastach na Nordzie i nie tylko na Nordzie, wiadomo powszech-

nie, że ich udział w danej imprezie czy obchodzie jest gwarancją sukcesu. Toteż co roku zapraszani są do Béthune, gdzie koncertują na „Festiwal du Jardin Public”, do La Basoche w departamencie Eure-et-Loir, de Lille, gdzie grają na obchodzie Trzeciego Maja. Grali już na uroczystości „France-Pologne” w Arras, na kiermaszu w podparyskiej miejscowości Villejuif, itd. Występowali także w radiu oraz w telewizji, w audycji „Le Magazine du Mineur”. Nagrali też kilka ładnych płyt. Płyty te wydały firmy: „Festiwal” i „Decca”. Większość z nich to melodie polskie. „Sonora” ma w swoim dorobku także i płytę „stuprocentowo francuską”, na którą składają się wyłącznie „Noëls”, czyli kolędy. Jedną z tych kolęd — „Le vrai Noël” — jest pióra p. Jean Skalki, który jest nie tylko dyrygentem i duszą „Sonory”, ale także kompozytorem.

— *Trzymamy się dobrze* — mówi p. Skalka. *Nasz zespół reprezentuje dobry poziom. Niemato uroku, jeśli można tak powiedzieć, dodaje nam udział śpiewaków — p. Rutkowskiego oraz pp. Pelczara i Migdalskiego, którzy świetnie wykonują polskie i francuskie piosenki. Z rekrutacją młodych sił kłopotu nie mamy. Otrzymujemy interesujący narybek. Cóż z tego jednak? Młodzi przychodzą i odchodzą. Bo służba wojskowa, bo wyjeżdżają za pracą itd. To nie to co kiedyś. Kiedyś wszyscy byli górnikami i wszyscy siedzieli na miejscu. Ale i tak nie można narzekać. Przecież tyle różnych towarzystw i orkiestr dawno już pozostawiliśmy w rozsypanie, a my — jak graliśmy, tak gramy! Widzicie, Houdain nie jest dużym miastem, ale w atmosferze Houdain jest coś takiego, co sprawia, że u nas stare towarzystwa po dziś dzień mają mocne nogi.*



RADY

od serca

DROGA PANI ANNO!

Może pani znajdzie dla mnie jakąś radę i pomoc, bo tak dłużej nie może być.

Ożeniłem się wbrew radom matki z kobietą o 15 lat

ode mnie młodszą. Widziałem od razu pewne braki w charakterze żony, ale myślałem, że uda mi się je naprawić. Nic z tego. Zona nie chce słuchać moich uwag. Nie dba o mnie absolutnie, ani o dom, ani o dzieci. Chce tylko pieniędzy i pieniędzy. Lata po magazynach, kupuje co najlepsze, oczywiście dla siebie. Ja dzieciom reperuję bieliznę, piórę, sprzątam. Ona za jęta jest romansami. Dzieci w ogóle przestały zwracać się do matki, zawsze przychodzą tylko do mnie. Zona śpi do południa, a ja sam nie radzę

sobie ze wszystkim, przecież muszę zarabiać.

Ten wpływ żony, brak opieki nad dziećmi już się daje we znaki. Syn przez długi czas nie chodził do szkoły, córka raz ukradła pieniądze w szkole.

Zupełnie nie wiem, co robić. Żal mi porzucić dzieci, bo zmarnieją do reszty. Chciałbym je ocalić, dać im lepszą opiekę, wychować na ludzi. W tych warunkach to jest niemożliwe. Zaznaczam, że żadne rozmowy z żoną nie pomagają. Ona ma mnie za nic i zupełnie jej nie zależy na mnie i na domu. Dom

wygląda jak po pożarze. Jestem coraz bardziej załamany i bezradny. Ja, mężczyzna, płacząc po nocach z rozpaczy.

Błagam panią o jakąś radę.

ZAŁAMANY

SZANOWNY PANIE!

Popelniał pan wielki błąd biorąc tę kobietę za żonę. O tym wie pan sam najlepiej. Teraz rzeczywiście trzeba myśleć tylko o tym, żeby ratować dzieci. Nie może pan ich opuścić w żadnym razie. Tylko pan jest ich ostoją na tym świecie. Natomiast trzeba coś

zrobić, by dzieci odseparować od matki. Na pana miejscu załatwiłbym to formalnie. Trzeba się poradzić adwokata i pozbawić matkę władzy rodzicielskiej. Dowodów przeciw niej ma pan dosyć.

Nim to się załatwi, musi pan umieścić dzieci w internacie. Jeśli nie stać pana na płacenie, należałoby się zwrócić o jakąś ulgę czy w ogóle bezpłatnie ich utrzymanie. To musi pan zrobić przede wszystkim. Dzieci nie mogą żyć dłużej w tym strasznym domu, w którym każdy dzień przynosi im zgorznienie, demoralizację i zło.

La semaine des Jeunes

SOUVENIRS D'UN VOYAGE EN SILEŚIE

Je suis jeune, je ne suis qu'une fille, il m'arrive d'être frivole et tout ce que vous voudrez, mais je n'ignore pas l'importance de ce problème. Pour en avoir souvent entendu parler à la maison, je peux même dire que je le connais assez bien.

C'est de la frontière Oder-Neisse que je parle. Cette frontière date de 1945. En 1945, la conférence de Potsdam décidait de reconnaître la ligne Oder-Neisse comme frontière entre la Pologne et l'Allemagne. La Pologne recouvrait ses ancestrales terres de l'Ouest et du Nord. Ce n'était que justice, mais cela n'a pas plu à tout le monde. Aujourd'hui encore, l'Allemagne Fédérale considère que ces territoires sont des territoires allemands „sous contrôle polonais”. Assez fréquemment, certaine presse allemande laisse entendre que les Polonais se sont montrés incapables de les aménager.

J'ai voyagé sur les „Ziemie Zachodnie”. J'ai vu beaucoup de choses, j'ai rencontré beaucoup de gens intéressants, j'ai pris des notes. Je voudrais aujourd'hui vous parler de tout cela.

Je suis d'abord allée à Wrocław. C'est le point pivot de la Basse-Silésie. En l'an mil, le premier monarque historique polonais y fonda un évêché. Les princes Piast Henri le Barbu, Henri le Preux et Henri Probus (Le Loyal), y firent bâtir de beaux sanctuaires romans et gothiques où les foules médiévales louaient le nom du Créateur en polonais. Mais un jour les Habsbourg s'en emparèrent, puis la Prusse, et durant plusieurs siècles l'âme polonaise de Wrocław fut emprisonnée dans l'oppressive écaïlle de la Breslau germanique. Et quand en 1945 les troupes hitlériennes en furent définitivement chassées, quand après plusieurs siècles de domination allemande Wrocław figura de nouveau sur la carte de la Pologne, il n'en restait que ruines, décombres et champ de mines.

Aujourd'hui Wrocław est un grand centre industriel. Les wagons des usines „Pafawag” de Wrocław roulent sur les chemins de fer de l'Inde, de la Chine, de l'URSS, de la Bulgarie. Près de Wrocław, les nouvelles usines de camions et d'autobus „Jelcz” sont en pleine expansion. C'est aussi un grand centre scientifique et culturel. Après Varsovie et Cracovie, c'est Wrocław qui est actuellement la plus importante des villes universitaires de Pologne. C'est à Wrocław que la Bibliothèque Nationale polonaise, l'Ossolineum, publie les éditions critiques des „écrivains de toujours” polonais et les traductions polonaises des „écrivains de toujours” étrangers. C'est aux ateliers cinématographiques de Wrocław qu'on été réalisés des films comme „Cendre et Diamant” et „Le Couteau dans l'eau”. Wrocław, aujourd'hui, ce sont aussi des médecins et des ingénieurs de renommée mondiale, d'intéressants théâtres universitaires, et, pieusement reconstituées, des reliques de l'histoire: l'hôtel de ville gothique, la somptueuse cathédrale, l'opulence baroque de l'Université. C'est une très jeune population de près d'un demi million d'habitants. „Tout — les églises gothiques, les docteurs de l'Université et les traditions — nous avons tout fait en vingt-trois ans” — m'ont dit les „wrocławianie”.

Le destin et les grandes espérances de Wrocław reflètent fidèlement le destin et les grandes espérances de la Basse-Silésie tout entière. Comme Wrocław, cette région fut d'abord et durant longtemps polonaise; comme Wrocław, elle tomba ensuite pour plusieurs siècles sous la domination allemande. En 1945, elle n'était qu'un vaste paysage de désolation. Avant de s'enfuir, les hitlériens n'omirent pas d'y détruire 1755 usines, d'emporter les machines, d'y loger 3.400.000 mines...

Les vingt dernières années y ont été avant tout marquées par un développement rapide de l'industrie mécanique et une exploitation systématique

des richesses minéralogiques. La Basse-Silésie est aujourd'hui constructrice non seulement de ces fameuses fraiseuses que lui achète, entre autres, „Fiat”, mais aussi de calculateurs électroniques. A Świdnica, on construit des sucreries entièrement équipées et on les expédie dans de lointains et exotiques pays... Les techniciens et les produits des importants Etablissements de l'Industrie de l'Azote de Kędzierzyn sont connus et appréciés au Brésil, en Corée, au Canada, aux U.S.A., en Egypte, en Suisse, en Inde, en Uruguay, en Indonésie, en Espagne, en Yougoslavie, au Mexique, au Pakistan...

Ce qui est vrai pour Wrocław et la Basse-Silésie l'est aussi pour les autres régions „récupérées” de l'Ouest et du Nord — les voïvodies de Zielona Góra, Szczecin, Koszalin, Gdańsk et Olsztyn — et concerne l'ensemble de ces territoires.

Les Allemands les avaient laissés pour morts. En 1945, sur 9.255 entreprises qui y fonctionnaient en 1937, 6.727 étaient entièrement détruites; sur les 10.000 kilomètres de voies ferrées d'avant la guerre, 7.600 étaient hors d'usage. Etc., etc. Or, en vingt-trois ans, les Polonais y ont construit ou reconstruit plus de 100 usines. Ils y ont créé — entre autres — une puissante industrie de constructions navales. L'économie maritime de la Pologne a pris son essor, et Szczecin (dont le dr Goebbelts disait à la fin de la dernière guerre que „nul n'arriverait jamais à venir à bout de ce cimetière total”), est devenu le premier port de la Baltique. L'agriculture s'y est elle aussi considérablement développée. Il y existe 21 établissements d'enseignement supérieur (avant la guerre, il n'y en avait que 10). Et ces territoires sont habités par plus du quart de l'ensemble de la population polonaise, et 200.000 citoyens nouveaux y naissent chaque année...

Wrocław, Trzebnica, un peu franco-polonaise (en 1703, Ca-

therine Leszczyńska, épouse de Stanislas, futur roi de Pologne et duc de Lorraine, y vint, avec sa fille Marie, future épouse de Louis XV et reine de France, en pèlerinage au tombeau de sainte Hedvige, princesse silésienne morte en 1243 et canonisée en 1267), les forêts et les lacs de la Terre de Lubusk dont la capitale est Zielona Góra, l'effervescence et le soleil des ports de la Baltique, les forêts et les lacs de Mazurie, Malbork, dont le puissant château fort des Chevaliers Teutoniques était l'un des avant-postes du fameux „Drang nach Osten”, et puis de nouveau Wrocław, et la Montagne Sainte-Anne enfin — tel a été l'itinéraire que j'ai suivi... Ah, les livres ne mentent pas qui disent ces régions belles et cordiales...

Ce dont je me souviens le mieux, c'est la Montagne Sainte-Anne. Des forêts de hêtres, des forêts de chênes, et dans cette sertissure — une éminence basaltique, et les hautes colonnes du pathétique Monument de l'Action

Insurrectionnelle du grand sculpteur Xawery Dunikowski. D'en haut l'on voit les cheminées des Etablissements de l'Industrie de l'Azote de Kędzierzyn, et les méandres de l'Oder.

Non, ce n'est pas ça. Ce lieu où lors de l'insurrection silésienne de 1921 des hommes se battirent et moururent pour que la Silésie puisse de nouveau être le „Śląsk” polonais, ce lieu semble vous doter comme d'un pouvoir initiatique, et — non, assurément, ce n'est pas seulement Kędzierzyn et l'Oder et les forêts ancestrales que l'on aperçoit du haut de cet Olympe slave, mais toute la Silésie, mais toute la Pologne...

Si de voir un endroit qui bouleversant et transcendant l'histoire et la géographie exprime l'âme et l'espoir le plus profond d'un pays et d'un peuple vous tente — allez à la Montagne Sainte-Anne.

Je vous fais une grosse bise.

Martine

§§ MECENAS RADZI

CZYTELNIK W. S., PARYŻ

W nie podpisanym i bez adresu listie nie podaje Pan swojej sytuacji ani zawodu, stawiając szereg zapytań w sprawie zatargu z pracodawcą co do umowy pracy.

Wielkie przedsiębiorstwa przyjmując do pracy wydają umowy pisemne, ale w większości wypadków nowo przyjęty do pracy robotnik nic nie podpisuje. Wówczas w razie zatargu, z braku pisemnej umowy, sądy uważają, że istnieje umowa ustna i ich wyroki opierają się na ogólnych zasadach, a mianowicie na umowach zbiorowych, regulaminie wewnętrznym przedsiębiorstwa, kodeksie pracy i zwyczajach w danym zawodzie (Convention collective, Règlement interieur, Code du Travail, Usages Professionnels). Poza tym ustawy mają charakter ogólny i nie przewidują każdego przypadku. Trudności praktyczne nie są ujęte w paragrafy i na tym właśnie polega jurysprudencja, która służy za precedens w stosunku do powtarzających się i podobnych przypadków. Zapewne w pańskiej sprawie istnieje precedens, którego Pan nie zna, ale który jest znany adwokatowi. Prawdopodobnie dla tych względów Conseil des Prud'hommes odmówił załatwienia sprawy bez obecności adwokata. W sprawach przedawnienia Kodeks Pracy odsyła do artykułów 2271, 2272 i 2275 Kodeksu Cywilnego. Chodzi tu o przedawnienie krótkoterminowe (6 miesięcy i rok), polegające na domniemaniu uregulowania zapłaty przez pracodawcę.

Gdy los dzieci będzie zabezpieczony, powinien pan zacząć myśleć o rozwodzie. Wydaje mi się, że nie należy kontynuować tego małżeństwa, które nikomu niczego dobrego nie przynosi. Ale uwaga — rozwód to sprawa między panem a żoną. A dzieci — one muszą mieć zapewnioną przyszłość, tylko pan może im ją zapewnić. Na pana barkach spoczywa poważna odpowiedzialność. Myślę, że zdaje pan sobie z tego sprawę.

ANNA

SZANOWNA PANI ANNO!

Mam lat 45, jestem człowiekiem zgorzkniałym i złamanym. Mam córkę, którą sam wychowywałem po śmierci żony. Dziewczyna miała wtedy 16 lat, nie chciałem więc powtórnie się żenić. Poświęciłem się wychowaniu dziecka. Traktowałem ją jak koleżankę, przyjaciela. Stworzyłem byt niemal luksusowy, jak na moje możliwości. Nie odmawiałem niczego, by zaspokoić jej zachcianki. Brałem dodatkowe zajęcia, pracowałem po nocach, by córce niczego nie brakło.

Gdy miała lat osiemnaście, opuściła szkołę i dała mi do zrozumienia, że jest już dorosła i że sama o sobie będzie decydować. Zaczęła przebywać w nieodpowiednim towarzystwie. Przestałem dawać pieniądze. Okazało się, że wynosi z domu wartościowe przedmioty. Zrobiłem jej awanturę i nie mogąc się, opanować uderzyłem ją w twarz. Uciekła z domu i na złość mnie spędziła noc u przyjaciela. Powiedziałem, że nie chcę jej znać. Wyjechałem z tego miejsca, próbowałem żyć od nowa. Po dwu la-

tach córka mnie odszukała, nie przyjąłem jej.

Dziś rozumiem, że źle wychowałem moje dziecko. Dałem córce za dużo, trzeba było ją trzymać krótko. Teraz nie wiem nawet, co się z nią dzieje.

OJCIEC

DROGI PANIE!

Powinien się pan czuć odpowiedzialny za los córki. I to podwójnie. Nie umiał pan jej wychować na człowieka, rozpieszczał ją, kształtował fałszywie jej charakter, wmaśniając, że wszystko, czego tylko zapragnie, będzie jej.

To jeden błąd. Drugi popełnił pan później i ten drugi jest chyba znacznie gorszy. Odepchnął pan od siebie dziewczynę w momencie, gdy potrzebowała dobrego słowa i pomocy. Odepchnął ją pan dwukrotnie i teraz dumnie pisze pan do mnie — „Nie wiem co się z nią dzieje”!

Jak to możliwe? Wykreślił pan własne dziecko z serca i z pamięci?

Myślę, że powinien pan odszukać dziewczynę, może jest nieszczęśliwa, może cierpi, może poza panem nie ma nikogo życzliwego.

ANNA

LISTY Józefa Grzybka

O żołnierskich tradycjach — polemicznie

PANIE REDAKTORZE!

„...Wrzesień... Przez wyzłocony stołcem krajobraz tysiące zbiegów wędruje na wschód dziwacznymi taborami, gdzie chłopskie konie ciągną auta bez paliwa, wozy zaprzężone w krowy wśród morza pieszych. Wędrują, mijając po drodze żalosne szczytki zdruzgotanej państwowości polskiej w postaci uciekającej policji lub straży ogniowych. Wędrują ludzie obłąkani z rozpaczą, ludzie skowyczący z bólu jak zwierzęta, ludzie padający na szosie zamienionej w krwawe pobojowisko przez nurkujące nisko samoloty nieprzyjaciela (...). Pożary na prawo, pożary na lewo, tony na wprost, zatarasowane drogi, a ponad wszystko, silniejsze niż ból i trwoga, poczucie, że Polska zginęła...” — tak w swoim „Roku polskim” pisze o wrześniu 1939 r. zmarła niedawno temu znakomita pisarka, autorka m. in. „Krzyżowców” i „Dziedzictwa”, Zofia Kossak.

Tak było. Niemcy mieli zdecydowaną przewagę, wyjściowego położenia strategicznego. Mieli także około półtora miliona żołnierzy, 2.600 czołgów i około 2.000 samolotów, podczas gdy całe wojsko polskie liczyło około 800.000 żołnierzy, 150 czołgów i 400 samolotów, w olbrzymiej większości przestarzałych. Nadto dowództwo polskie nie opracowało planu obrony Kraju od zachodu, lecz tylko plan osłony granic (dane te podaje za wydaniem w zeszłym roku w Warszawie „Małym słownikiem historii Polski” — świetną pracą, którą tym wszystkim, którzy interesują się dziejami Polski radzę niezwłocznie nabyć*).

Wrzesień 1939 r. był miesiącem klęski. Klęskę tę opisali liczni historycy i literaci. Jedni analizowali jej przyczyny, kładli nacisk na fakt, że jeśli we wrześniu 1939 r. i podczas całej w ogóle wojny Niemcy mogli czynić z narodu polskiego jatki, to stało się tak za sprawą haniebnej, zbrodniczej polityki władców przedwrzesniowej Polski. Inni po prostu starali się opisywać, możliwie dokładnie odtworzyć tragedię. Inni jeszcze akcentowali bezprzykładne bohaterstwo żołnierzy września, pisali o obronie Westerplatte, Helu, Warszawy, o atakach kawalerii z lancami i szabłami na niemieckie czołgi.

Ci ostatni utrafilii w czułą strunę. Wokół ich artykułów, książek i filmów powstała wielka dyskusja w społeczeństwie polskim. Wielu pisarzy i dziennikarzy ostro zaatakowało wystąpienie „kawalerskiego romantyzmu”, panoszącej się według nich w Polsce od epoki Kozińskiego i szarzy szwoleżerów pod Somosierrą po powstanie warszawskie z 1944 r. „bohaterstwu” (kult bohaterstwa dla bohaterstwa), i nawoływało do propagowania ideału „oszczędzania krwi narodowej”. Inni — ludzie tacy jak na przykład autor książki „Siedem polskich grzechów głównych”, pułkownik Zbigniew Załuski, dowodził, że wbrew utartym mniemaniom — znane z historii wojkowości „brawurowe szaleństwa” polskich żołnierzy odznaczały się rozsądkiem i celowością.

Innymi słowy: — Polacy potrafili jak dotąd tylko walecznie ginąć, natomiast nie potrafili walecznie myśleć, pracować i w ogóle żyć. Z tą filozofią „porywania się z motyką na słońce” trzeba skończyć, bo w nowoczesnym świecie, w jakim znalazła się Polska Ludowa, mniej liczą się żołnierskie tradycje — liczy się nade wszystko codzienna praca nad pomnażaniem dóbr gospodarczych i społecznych. Patriotyzm nie polega na gotowości do czy-

nów szalonych, do umierania, do samobójstwa; dzisiaj trzeba przede wszystkim chcieć i uczyć się pracować dla Ojczyzny. Oto, co należy wpajać młodzieży! — mówili pierwsi. — Nieprawda! — protestowali drudzy. — Bohaterskie czyny polskich żołnierzy nie były dziełem szaleńców. Wszystkie te działania były sensowne, zmierzały do osiągnięcia określonego skutku. Dlatego należy mówić o nich młodzieży, dlatego należy propagować ideał żołnierskiego bohaterstwa...

Spór ten trwa po dziś dzień. Prowadzony jest on nie tylko w krajowych dziennikach i tygodnikach, ale także i w świadomości każdego chyba starszego Polaka, niezależnie od tego, czy mieszka on w Kraju czy też za granicą. Wygląda na to, że w każdym z nas żyje dwóch ludzi. Pierwszemu z nich nic się tak nie podoba jak mundury, „utani, utani malowane dzieci”, szum „orłów chorągwiowych”, wierszyk o tym, jak to Stach poszedł na wojnę, piosenka o tym, że przed chłopcami „drzewa salutują, bo za naszą Polskę idą w bój”, itd. Kiedy się temu pierwszemu z zamieszkujących w każdym z nas ludzi przypomni wierzby płaczące albo Kozińskiego, albo września 1939 r. — to on zaraz zaczyna szlochać, deklamować poezję, wylewać potoki bombastycznych frazesów. Drugi natomiast osobnik jest całkiem inny. On twierdzi, że Ojczyzna, honor, patriotyzm, bohaterstwo — że te słowa są tak wielkie, że nie wolno ich używać nadaremnie. Jest on także sztywny. Jeśli go zapytacie, jaki jest narodowy polski sport, odpowie Wam, że jest nim bohaterstwo. Cechuje go negatywny stosunek do wojny i wojska, bez względu na to, jaka to wojna i jakie to wojsko.

Po której stronie jest racja? W jakim duchu ma być wychowywana młodzież? Otóż mnie się wydaje, że bezsensowny i bezużyteczny jest zarówno nadmiar kpiny z żołnierskich tradycji, jak też bezkrytyczne ich uwielbianie, wysławianie, egzaltacja.



NA WRZESIEŃ 1968)

WE WRZESNIU słońce słabiej dogrzewa, toteż podlewanie warzyw bywa coraz rzadsze, choć równocześnie działka ogrodnicza bywa najwięcej zajęta przez wcześniejszą uprawę różnych warzyw. Kończą się co prawda zbiory fasoli, więc na jej miejsce posadzić można sałaty (chicorées frisées lub scaroles en cornet) albo posiać jeszcze szpinak. Boćwina (les bettes à côtes) do zimowania i kalafiory późne (les choux-fleurs brocolis tardifs) sadzone bywają w pierwszych dniach września. Tak samo można posadzić pory (poireaux longs d'hiver), kapustę jesienną (choux de Milan i de Pontoise tardifs), posadzić lub posiać sałaty zimowe, (laitues pommées i romaines à hiverner), które będą bardziej odporne na zmiany temperatury, karczochy (artichauts) i ostatnie seleryzepy (céleris-raves). A jeśli posiadamy wolne miejsce, to rzeżucha (cresson alénois), rozpunka (la mâche), trybula (le cerfeuil), cykorię gorzką (chicorée amère) mogą być posiane na zagonie i później chronione przez prze-

Sądę również, że o ile bohaterom walk o Polskę i o wolność należy się cześć i pamięć ludzi i książek, to jednak ideałów na dzień dzisiejszy nie można budować jedynie w oparciu o żołnierską przeszłość, choćby była ona najchlubniejsza.

Nie bez kozery napisałem ten „List”. Nie chodziło mi tylko o zreferowanie artykułów, które w ostatnich latach zwróciły moją uwagę w krajowych gazetach. Problem stosunku do żoł-

nierskich tradycji istnieje także w środowiskach polonijnych. Jak ten problem u nas wygląda?

Warto się nad tym zastanowić.

Bywajcie zdrowi, Drodzy moi.

Józef Grzybek
z Nordu

*) „Mały słownik historii Polski” można nabyć w paryskiej księgarni „La Boutique Polonaise” (red.).

Od tej chwili podnieśliśmy głowy do góry!

Miałem niebywale szczęście, że udało mi się przyłapać pana Szywałę w Warszawie, dosłownie na dwie godziny przed odlotem jego powrotnego samolotu do Ameryki. A był w Kraju 10 dni w towarzystwie żony pani Heleny i dwóch córek — Cynthii i Kathy. Pan Szywała jest Amerykaninem polskiego pochodzenia, urodzonym w USA. Do Kraju przyjechał, po raz drugi zresztą od wojny, by odwiedzić rodzinę. I najstaranniej unikał wszelkich kontaktów z prasą i w ogóle tak zwanej „publicity”. Bówiem, gdyby wcześniej jego pobyt był powszechnie znany, przyjeźcom i fetom nie byłoby końca. A pan Szywała jest człowiekiem skromnym — jeden „drink” i szklanka wody sodowej to, jak uważa, zupełnie dostateczne przyjęcie.

Skąd takie zainteresowanie jego osobą? Jak wiadomo, dwa lata temu w USA gościła wielka polska Wystawa Tysiąclecia, na której pokazywano największe skarby historii polskiej kultury narodowej: arrayy, ornaty, relikwiarze, regalia ze skarbca wawelskiego itd. Przy imprezie na taką skalę nie wystarczy zapakować eksponaty w skrzynie i wysłać, nawet pod opieką kustosa. Niezbędni są organizatorzy na miejscu. Zajęli się tym kongresman Roman Puczyński i wiceprezes zarządu Muzeum Polskiego w Chicago dr Aleksander Rytel. Ale zespół współpracowników zaczął im się „rozlaźić”. Wtedy pan Puczyński wciągnął do pracy Tadeusza Szywałę, który w Niles koło Chicago ma własne przedsiębiorstwo inwestycyjno-budowlane. A pan Szywała rzucił się w wir roboty z całego serca. Dosłownie miesiąc harówki dniami i nocami i do tego, co nie najmniej ważne — znaczne kwoty w dolarach, które pan Szywała wyjął z własnej kieszeni i włożył w przygotowanie imprezy.

Praktycznie — wszystko spadło na niego i od niego zależało.

Rzecz prosta wdzięczność Kraju za

tak nieprzeciętną ofiarność jest ogromna.

— Panie Tadeuszu — pytamy, co Pana najmocniej pociągnęło do zajęcia się wystawą aż na taką skalę?

— Widzi Pan, ja jestem Amerykaninem, już tu urodzonym. Ale interesuje mnie, co to jest amerykański Polak i Polak w ogóle, na co może się powołać, jaki ma „background” — zaplecze w historii i kulturze światowej. Jeszcze 30—40 lat temu Polacy w Ameryce to była najniższa warstwa ludności, tylko do prostej roboty. Anglik, Niemiec, Irlandczyk — ci wszyscy mieli się na co powołać, na swój kraj pochodzenia, i to z dumą. Od tej pory mamy nowe pokolenie amerykańskich Polaków, ludzi już wykształconych. Każda grupa narodowościowa urzędu w Ameryce swoją „parade”, to jest taki pochód, gdzie idą grupy w strojach narodowych, organizacje, sztabary, niesie się i wiezie figury symboliczne, kwiaty, grają orkiestry i tak dalej. Parada pokazuje właśnie ten „background”, pochodzenie każdej grupy. My w Chicago mieliśmy wielką, ponad półtoragodzinną paradę na głównej ulicy, miała 130 „parts” — części. To była najpiękniejsza i największa parada w Chicago, a zorganizowano ją w związku z wystawą. Pokazaliśmy, co to Polska i Polonia, od tej pory podnieśliśmy głowy do góry, zaczęto na nas inaczej patrzeć. Jestem dumny ze swego pochodzenia!

W dniu odjazdu państwo Szywałowie złożyli wizytę w Towarzystwie „Polonia” w Warszawie i tam właśnie udało nam się z nimi przeprowadzić tę rozmowę. W niedalekiej przyszłości planują jeszcze jeden przyjazd do Polski, już na dwa miesiące, aby zwiedzić dokładniej Kraj Ojców i jeszcze mocniej ugruntować poczucie dumy z pochodzenia z wielkiego narodu.

(G)

nośne lekkie inspekty-nakrycie, które później przyczynią się również do ochrony pomidorów przed deszczem i do dalszego korzystnego wzrostu owoców.

Przypomnijmy jeszcze, że trzeba myśleć o spulchnianiu ziemi i usuwaniu chwastów oraz nakrywaniu — celem zbielenia — dorastających sałat chicorées i scaroles, obcięciu liści dużych truskawek, a także o spulchnieniu ziemi wokół krzewów.

W czasie wymienionych prac trwa walka ze szkodnikami i pasożytami grasującymi na działce. Przejornie zaprzestajemy stosowania nawozów sztucznych, zwłaszcza azotowych, do warzyw mających służyć na zaopatrzenie zimowe.

DRZEWA OWOCOWE wymagają przeglądu: może są zbyt stare, źle owocujące lub schorzałe. Zasilamy je więc siarczanem żelaza (sulfate de fer), nawozami rozpuszczalnymi w wodzie lub gnojówką, niszczymy kolonie szkodników, między innymi larwę drzewną toczącą korytarze w korze drzew. Wtedy napychamy do środka galerii kilka kulek waty zmoczonej w płynie Charancel i zasklepamy otwór woskiem lub pastą do szczepienia. Po raz ostatni w tym roku przeglądamy i przycinamy pędy drzew prowadzonych sposobem zwanym taille Lorette.

„Taille Lorette”, jak wiemy, jest to ścięcie letnie wykonywane od 15—20

czerwca do połowy września, a system polega na przycinaniu zbyt rozrastających się pędów, wpływających ujemnie na owocowanie drzewa. Skracca się więc młode pędy, które osiągnęły co najmniej grubość ołówka, zostawiając na ogół na ciętym pędzie trzy, cztery liście.

W OGRÓDKU OZDOBNYM we wrześniu rozpoczyna się zanik dopływu soków u pewnych gatunków roślin i krzewów. Możemy więc sadzić i rozsadać różne rośliny rozkorzenione, a szczególnie kwitnące wiosną, jak: les pivoines, iris, dionics, dielytras i inne. Sadzić możemy również krzewy drzewiaste, posiadające liście trwałe i iglaste, w glebę lekką; w glebie ciężkiej, mokrej, gliniastej — lepiej sadzić wiosną. Rozsadzamy w szkółce niedawno posiane rośliny dwuroczne, aby je ostatecznie posadzić w październiku, listopadzie albo na wiosnę. Siew jest już ograniczony, ale można posiać niezapominajki (myosotis des Alpes), goździki (oeillets de Chine), bratki (pensées), laki, lewkonie (giroflées), maki (coquelicots), grach pachnący (pois senteur), klarsje (clarkias). Rozsadzamy również pędy mające stanowić nowe sadzonki (géraniums, fuchsias, oeillets, calcéplaires itp.) oraz doniczujemy chryzantemy i inne, które spędziły lato na zewnątrz.

WASZ OGRODNIK

B. DOWOJNA-BIENAIME

TLUMACZKA

PRZYSIĘGŁA

PRZY WYŻSZYCH

SADACH W PARYŻU

Tłumaczenia urzędowe
ważne w całej Francji23, quai de la Tournelle
PARIS (5^e)TELEFON: ODEon 41-17
METRO: PONT-MARIE**ODŻYŁY WSPOMNIENIA KOMBATANTÓW —
JEŃCÓW STALAGU 369 W KOBIERZYNIE**

Pojechali z rodzinami, by odwiedzić miejsce, gdzie przed 24 laty więzili ich hitlerowcy. Chodzili po terenie dawnego obozu karnego w Kobierzynie pod Krakowem... Wspominali... Jean Mialon, abywatel miasta Le Puy, dziś dyrektor zakładów mleczarskich, pokazuje zdjęcie wychudłego mężczyzny w furaczerce. Pod zdjęciem czytamy: „27559 IX A C Mialon Jean”. To jego pamiątka sprzed 26 lat. Tam, w Kobierzynie, hitlerowcy w latach 1942—1944 więzili: 4500 francuskich i 120 belgijskich podoficerów. — To zdjęcie — mówi p. Jean Mialon — to moja pierwsza, bolesna pamiątka z Polski. Dziś, po

12-dniowej wędrówce szlakiem dawnych, tragicznych wspomnień, wywożę obraz Polski wspaniałej, budującej pokój. Wtedy w Kobierzynie (Francuzom trudno wymówić prawidłową nazwę Kobierzyn) widzieliśmy Polskę zza drzew. Domyślaliśmy się jej. Podziwialiśmy wieże kościoła na Wawelu widoczne z naszych cel. Jedynym naszym kontaktem ze światem była nieznajoma kobieta przechodząca często pod murami, znająca francuski, która informowała nas o tym, co się dzieje na świecie. Podtrzymywało nas to na duchu. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, kim była...

Wraz z p. Jean Mialon w

tej wycieczce „śladami wspomnień” uczestniczyli jeszcze 44 osoby.

Po zwiedzeniu Krakowa i terenu byłego obozu karnego Stalagu 369 w Kobierzynie byli kombatanci francuscy i belgijscy udali się do Warszawy.

W stolicy byli podejmowani przez Zarząd Okręgu Warszawskiego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Podczas przyjęcia w siedzibie ZBoWiD drogich gości powitał wiceprzewodniczący Zarządu Okręgu płk Eugeniusz Kozłowski: „Po tylu latach odwiedziłeś nasz kraj, ale tym razem nie przymusowo, lecz jako ludzie wolni, przyjaciele, aby zobaczyć nasz kraj, aby zwiedzić to, co jest symbolem pokoju, i to, co jest symbolem hitlerowskich zbrodni”.

Równie serdecznie odpowiedział w imieniu Francuzów — przewodniczący delegacji p. Albert Goury, a w imieniu Belgów — p. Georges Nagels. P. Goury nazwał wycieczkę do Polski „pielgrzymką pamięci, wycieczką śladem wspomnień, które choć tragiczne na zawsze połączyły tysiące byłych więźniów francuskich i belgijskich ze Stalagu 369 — z Polską”. Dalej mówił p. Goury — „Wasza odwaga była w tych czasach naszą odwagą. Wspominamy waszą waleczność”.

Uczestnicy wycieczki złożyli również hołd pomordowanemu w Palmirach nieopodal Warszawy.

Wycieczka b. więźniów obozu karnego w Kobierzynie nie była pierwszą. Już w poprzednich latach odwiedzali „Kobjercyn” inni więźniowie tego stalagu. Te „pielgrzymki pamięci” organizuje AMICALE DU STALAG 369, które ma swoją siedzibę przy 68, rue de la Chaussée d'Antin — Paris (IX). Symbolem tego stowarzyszenia jest spętany koń, bowiem jeńców wojennych przywożono w czasie wojny w bydłych wagonach, a koń był pierwszym stworzeniem, które ujrzało w Polsce, gdy wysadzono ich z dydłych wagonów na odrutowanym terenie.

Symbol spętanego konia tak się zrodził z obozową codziennością więzionych, że po wyzwoleniu i po powrocie do ojczyzny umieścili go na proporcu stowarzyszenia byłych jeńców z Kobierzyna. By dać wyraz przyjaźni do Polski, uzupełnili proporc białoczerwonym tłem — barwami Polski.

Symbol spętanego konia tak się zrodził z obozową codziennością więzionych, że po wyzwoleniu i po powrocie do ojczyzny umieścili go na proporcu stowarzyszenia byłych jeńców z Kobierzyna. By dać wyraz przyjaźni do Polski, uzupełnili proporc białoczerwonym tłem — barwami Polski.

**ROCZNICE ŚLUBÓW**

ANGRES. W bardzo uroczystym nastroju obchodzili ostatnio swoje złote gody państwo **Walentowie Ponterscy**. Uroczystości przewodniczył mer-deputowany miasta Liévin **p. Darras** w otoczeniu mera miasta Angres **p. Dusausoy** i jego zastępców. Przemówienie do jubilatów wygłosił mer Angres podkreślając przywiązanie jubilatów do pracy, wspominając jednocześnie o ich zasługach społecznych. Kwiaty, tradycyjne podarunki oraz lampka szampańska wraz z życzeniami stu lat zakończyły tę uroczystość.

LALLAING. **P. Michalina Stefanik** i **p. Jan Rutkowski**, rodem z Wierzchniowa w Polsce, obchodzili w tutejszym merostwie 50 rocznicę pojęcia małżeńskiego. Zarząd miejski reprezentowali zast. mera **p. Wiliatte**, **p. Vertray** i **p. Davigny**. Pięciu synów i jedną córkę ujmowali jubilatami lata ich życia. Obecnie rodzina ich liczy aż 14 wnuków. Na zakończenie przemówienia życzył zast. mera jubilatowi zdrowia i szczęścia. W chwili obecnej **p. Rutkowski** korzysta z dobrze zasłużonej renty górniczej. **P. Rutkowski** jest b. kombatantem Armii Polskiej we Francji.

LA BASSEE. Diamentowa rocznicę swoich zaślubin obchodzili państwo **Kazimierzowie Perz**. Troje dzieci, czterech wnuków i sześciu prawnuków liczy obecnie ich rodzina. Do Francji przyjechali jubilatami w 1924 r., a od lat 31 zamieszkują bez przerwy w La Bassée. Zarówno w czasie uroczystości oficjalnych, jak i prywatnych nie było końca życzeniom stu lat w zdrowiu i szczęściu.

MEDALE PRACY

CAMBRAI. Ostatnio w fabryce Arbel został odznaczony medalem vermeil **p. Izidor Jerominek** za 35 lat pracy jako tokarz oraz medalem srebrnym **p. Alfons Ignaszewski**, urzędnik firmy, za 25 lat.

ZASŁUŻONA EMERYTURA

OIGNIES. W gronie przyjaciół i najbliższych towarzyszy pracy górnicej święcił ostatnio **p. Paweł Gorszka** swoje przejście na emeryturę. Opowiadania z czasów niewoli w Niemczech oraz

wspomnienia kopalniane urozmaiciły wspólnie spędzony wieczór. Życzeniami zdrowia i dalszej owocnej pracy w towarzystwie „Sokół” i klubie sportowym „Oignies” rozpoczęła **p. Gorszka** swoją emeryturę.

BULIŚCI

MONTCEAU-les-MINES. LA SAULE. Dwadzieścia sześć par graczy wzięło udział w konkursie stow. Joyeuse Pétanque Montcelienne. Para **Tuliński-Matu** zajęła miejsce 2, pkt 52-24; 4 **Jacquet-Brzozowski**, pkt 49-40; 5 **Kaczmarek-Władek**, pkt. 48-30.

BEUVRY. Miejscowe stow. C.S. Beuvry zorganizowało spotkanie bulistów UFOLEP. W półfinale **p. Żmuda** pokonał **p. Kałużnego**. Finał wygrał **p. Żmuda**. Puchar dzielnika „Voix du Nord” zdobył **p. Kałużny junior**, a miasta Beuvry — **p. Żmuda**.

EGZAMINY

AMIENS. Do tutejszej szkoły technologicznej zostali definitywnie przyjęci m.in. **Michał Kukła**, **Andrzej Jaworski**, **Piotr Plewiński**.

DOUAI. Pomyślnie złożyli egzaminy ze stenografii w Cercle Stenographique m.in.: **p. Margareta Łukomska**, **p. Martine Piątek**, **p. Edith Piechota**, **p. Martine Parchomenko** (75 słów na minutę), **p. Annette Kantorska** (90 słów), **p. Anne-Marie Ceglarek**, **p. Annie Gajewska**, **p. Marie-José Grzegorzczak**, **p. Jeanne Hamacek**, **p. Bernadette Lubinska**, **p. Monika Owczarek** (100 słów), **p. Janina Kuszej**, **p. Ghislaine Owczarek** (110 słów). Dyplomy pisanie na maszynie otrzymały m.in.: **p. Eliana Tyczyńska** (20 słów), **p. Anne-Marie Ceglarek**, **p. Anita Drzymala**, **p. Jeanne Hamacek**, **p. Alina Kamionka**, **p. Christine Kuryluk** (25 słów).

OFIARNOŚĆ SPOŁECZNA

PERRECY - les - FORGES. Małżeństwo **Hyclak-Burzyńska** złożyli na cele opieki społecznej datki zebrane w czasie ich ślubu.

KONKURS STRZELECKI

BILLY-MONTIGNY. W konkursie strzelania towarzyskiego stow. „Les Carabiniers” **p. Józefina Wolniewicz** prowadząca w grupie ogólnej znalazła konkurenta do tytułu króla kurkowego w osobie **p. Stanisława Łukaszeckiego**, który dorównał jej w ilości punktów (500). Miejsce 3 w tej grupie zajmuje **p. J. Dąbrowski**, 499 pkt., 6 **p. Jan Jędraszczak**, 10 **p. Franciszek Simonek**. W kategorii karabinków dla kadetów prowadzi **p. Marc Jędraszczak**, w gru-

pie III **p. Georges Zalewski** przed **Marc** i **Jean Jędraszczak**, w grupie IV **p. J. Wolniewicz**.

NAGRODY ZA DOMEK OZDOBIONE KWIAATAMI I OGRÓDKI

LABUISSIÈRE. Nagrodę trzecią za pięknie ozdobiony domek otrzymał w kat. pierwszej **p. Emil Rybarczyk**.

MAZINGARBE. Jury miejscowe przyznało miejsce pierwsze **p. Janowi Pawlickiemu** za jego ogródek. Miejsce 3 zajął **p. Jan Schultz**, 4 **p. Leon Zaremba**, 7 **p. Stanisław Zandek**, 9 **p. Stanisław Białobłocki**, 10 **p. Franciszek Szule**.

KĄCIK HODOWCY GOŁĘBI

LIBERCOURT. W konkursie „sur Chantilly” w kat. hodowców młodych gołębi **p. Leon Januszek** zajął miejsce 5 i 6, **p. J. Moron** 7 i 12, **p. Franciszek Rapior** 26 i 27. Serię 3 na 3 wygrał **p. J. Moron**. W konkursie wzięło udział 120 młodych gołębi.

NASZA KRONIKA RODZINNA**NIECH ZDROWO ROSNĄ**

Rodziny naszych Rodaków powiększyły się. Ostatnio urodzili się:

ST. VALLIER: Eric Chmielowiec. **TALAU-DIÈRE:** Gilles-Marie Smykowski. **OSTRICOURT:** Violette Perlicka, Fryderyk Maryniak, Rejane Król. **AVION:** Izabela Lewandowska. **DOUAI:** Henryk Walorski, Waleria Chruslińska, Filip Zagórski, Fryderyk Owczarek.

STO LAT DLA NOWOŻEŃCÓW

Ku radości Rodzin i Przyjaciół ostatnio zawarli małżeństwa:

WAZIERS: Micheline Janson i Stefan Chmielina. **BEUVRY:** Michèle Duriez i Piotr Binkowski. **OSTRICOURT:** Christiane Kucharzka i Ryszard Ciesielski. **ANICHE:** Renée Pinte i Jean Banaszak. **CALONNE-RICOUART:** Eleonora Niewada i Edmund Jędrocha. **FOUQUIERES-lez-LENS:** Marie-Françoise Morawska i Regis Demol. **LIEVIN:** Julienne Leblond i Leon Wojtecki. **Vimy:** Michele Declerq i Tadeusz Skarlak. **LENS:** Lilianna Kowalska i Daniel Deroncourt. **NOYELLES-sous-LENS:** Daniela Milenkiewicz i Hubert Deregnaucourt, Huguette Lemaire i François

rek, Laurent Pietrowski. **BRUAY-en-ARTOIS:** Alain Łukowiak, Dominique Sieradzki. **CAMBRAI:** Romain Małysza, Bertrand Laigle, syn Artura i Ireny z domu Haszczyk, Fryderyk Dosière, syn Louis i Ireny z domu Napieraj. **CALONNE-RICOUART:** Fabienne Owczarek.

Szczęśliwym Rodzicom życzymy dużo pociechy z najmłodszymi!

Górski, Anne-Marie Lazarowicz i Guy Daudioul. **HARNES:** Zofia Krukowska i Richard Antoine, Janina Hoszarek i Bernard Salamon, Françoise Marzyńska i Stefan Ślusarek. **MOYEUVE-GRANDE:** Chantal Fortin i Ryszard Bajorski. **MONTIGNY-en-OSTREVENT:** Lucie Sniady i Georges de Sauw, Monika Folszny i Jean-Michel Moniot, Henriette Niebala i Edmund Wywijas, Janina Flaszewska i Michel Johnson, Marianna Mamczyk i Jean-Claude Mikołajczak, Daniele Cayet i René Ruda, Henriette Gołębiowska i Stanisław Stasiak.

Nowożeńcom życzymy dużo pomyślności i tradycyjnych stu lat.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Z żalem donosimy, że ostatnio odeszli od nas:

MONTIGNY-en-OSTREVENT: Wojciech Piotrowski, lat 67, Stanisław Borzymowski, lat 75. **BRUAY-en-ARTOIS:** Stanisława Jakubowska. **HOUDAIN:** Leokadia Mucha z domu Pieklak. **ST. VALLIER:** Jan Matuszewski, lat 87. **HERSIN-COUPIGNY:** Julianna Oko-

niewska z domu Kubicka, lat 89. **TALAU-DIÈRE:** Bronisław Zabotny. **ST. ETIENNE:** Antoinette Graszawska, Bronisława Zielińska z domu Majcher, lat 78. **HARNES:** Weronika Pelińska, Ewa Walczak, Agnieszka Szkuła. **NOYELLES-sous-LENS:** Władysław Gronowski, lat 55, Adalbert Szyńska, lat 78.

Rodzicom Zmarłych składamy serdeczne wyrazy współczucia.



Ostatnie drzwi Ratusza pochodzą z 1768 roku. Taki jak wówczas będzie też ich obecny wygląd. Mistrz stolarski Edward Potecki dba o to, by każde okucie zostało tak sama umieszczone jak to przed 200 laty. Obok — praca nad pięknymi rzeźbionymi schodami. Pozostał z nich jak i z balustrady za ledwie jeden fragment. A jednak rzeźbiarze snycerze — Hieronim Bodnioch i Józef Pietruszka odtworzyli całość jaką jej nadali XVII-wieczni artyści

GDAŃSCY ARTYŚCI PRZYWRACAJĄ DZIEŁA FLAMANDZKICH MISTRZÓW

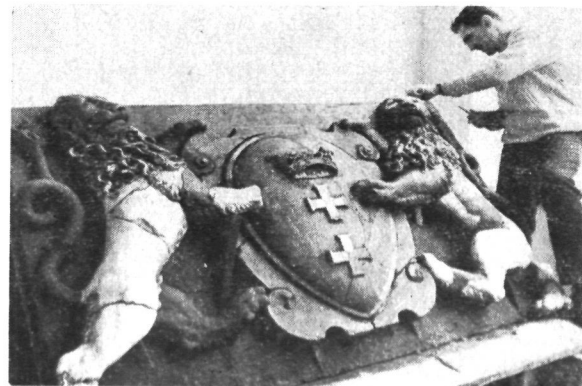
GDAŃSK ma dwa ratusze. Oba stare, zabytkowe: Staromiejski i Głównego Miasta. Ten ostatni przy ul. Długiej i Długiego Targu legł w ostatniej wojnie w gruzach. Górna część okazałej wieży została stracona; w zniszczonych dolnych kondygnacjach widać było przez sufit gołe niebo; z okazałych wnętrz nie pozostało śladu. Zniknęło w ciągu kilku godzin wszystko to, co było dorobkiem kilku wieków. A pierwsza część Ratusza powstała w latach 1378—82, zaś jego stan sprzed zniszczenia pochodził z XVII w. Wnętrza były dziełem kilku mistrzów flamandzkich z Antonim van Obergenem (1543—1611) na czele, który pochodził z Malines. Ozdoby sal, komnat i sieni potwierdzają trwałe związki Gdańska z Polską. Twórcami ich byli Vredeman de Vries (1527—1604) z Leeuwarden, Isak van de Block (1572—1628) z Malines i Wilhelm Barth (zmarł w 1585) z Gandawy. Z 15 dzwonów zawieszonych wtedy w wieży jeden wybijał godziny, pozostałe zaś — wygrywały melodie. Wraz z Ratuszem legło w 1945 r. w gruzach całe zabytkowe Śródmieście

Gdańska. Polscy architekci, inżynierowie i robotnicy podjęli jego odbudowę, przywracając mu historyczny wygląd, co wymagało daleko większego wysiłku i kosztów niż nowoczesne budownictwo. O ile jednak stosunkowo szybko odtworzono artystyczne kamieniczki gdańskich mieszczan, to całkowita odbudowa górującego nad nimi Ratusza wymagała znacznie dłuższego czasu. I właściwie trwa ona do dzisiaj.

W latach pięćdziesiątych przywrócono wieżę i jej wspaniały hełm. Przed kilku laty na jej szczycie stanął ponownie umieszczony tam po raz pierwszy w 1588 r. posąg króla Zygmunta Augusta — ze złota, 1,80 m wysokości. W czasie bombardowania i pożaru Gdańska w 1945 r. runął on wraz z hełmem wieży. W tej chwili wykańczane są wnętrza. Gdańscy rzeźbiarze i malarze, wychowankowie tamtejszych uczelni artystycznych przywracają dawną świetność sal miejskich w Ratuszu, oddając równocześnie hołd flamandzkim mistrzom, którzy pracą swą podkreślili dla potomnych polskość miasta.



LA VILLE de Gdańsk n'est pas seulement un grand port et le siège de chantiers maritimes connus du monde entier, c'est également une cité particulièrement appréciée des amateurs d'art. La vieille ville, entièrement rebâtie après la guerre, présente aux yeux émerveillés des visiteurs toute une collection d'art flamand que l'on ne croirait pas pouvoir rencontrer dans cette région de l'Europe. C'est ainsi par exemple que l'hôtel de ville a été bâti par des architectes et des artistes flamands du XIV au XVII siècle. Parmi les grands noms de l'art flamand qui ont créé à Gdańsk citons ceux d'Antoine van Obergem de Malines, de Vredeman de Vries de Leeuwarden, d'Isak van den Block de Malines et de Wilhelm Barth de Gand. Ce qui avait été créé par eux au cours des siècles a été détruit par les hitlériens en quelques jours. La reconstruction fidèle de leurs chefs-d'oeuvre par les artistes polonais a été comme une sorte d'hommage à leur talent.



TABLICZKA MARZENIA



Julię Łuczowską wybrano do roli Ludwika spośród setek kandydatek, drogą specjalnego konkursu. Jest ona wzorową uczennicą X klasy liceum



W tym wieku wszystko przeżywa się głęboko

PRZED PARU LATY powstał w Polsce film „Beata” z Polą Raksą w głównej roli. Był to jeden z największych sukcesów kasowych roku. Krytycy początkowo wyrażali się o nim bez entuzjazmu, publiczność jednak nie zgodziła się z ich opiniami. Beata była opowieścią o szesnastoletniej dziewczynie, która swój bunt przeciw oschłości otoczenia, konformizmowi szkoły i zakłamaniu, na jakie bezustannie natykała się wokół — wyraziła po dziecinnemu i gwałtownie. Film uderzył w czułą nutę młodych serc i umysłów, które przyjęły Beatę jako wyrazicielkę ich opinii o świecie dorosłych.

Czy taką samą karierę zrobi młodzianka bohaterka filmu „Tabliczka marzenia”, który właśnie wchodzi na polskie ekrany?

„Tabliczka marzenia” jest adaptacją popularnej wśród młodzieży powieści Haliny Snopkiewicz. Bohaterka filmu ma 15 lat, nazywa się Ludka. Mieszka w dużym mieście — bez trudu w plenerach miejskich odnajdujemy Łódź — nie różni się niczym specjalnym od grupy swych koleżanek z klasy. Jej dom i rodzice — to zwykli ludzie, bardzo zapracowani, trochę oschli i nie znajdujący dla niej czasu. Nikt jej specjalnie nie rozpieszcza, ale i nie brak jej niczego, co mieliby koledzy i przyjaciółki. Ludka jest tylko bardzo wrażliwa, a jej wyobraźnia pracuje intensywniej niż u większości dziewcząt w jej wieku.

Oczywiście, jak to w tym wieku bywa, Ludka jest zakochana. Obiektem jej westchnień jest przystojny, elegancki pan w średnim wieku, mieszkający na tym samym podwórzu. W dziecińczych jeszcze marzeniach widzi w nim coraz to inne wcielenie niezwykłości i przygody. Może to sławny podróżnik? Może artysta lub wy-

nalazca? Typowe dla „cięłego wieku” zafascynowanie kończy się w momencie, gdy Ludka odkrywa w nieznanym małym i banalnym aferzystę o niezbyt czystych źródłach dochodu.

Jest oczywiście załamana i natychmiast odbija się to na sytuacji w domu i w szkole. Na szczęście nadchodzi koniec roku szkolnego i wyjazd na obóz harcerski. (Sceny te filmowano nad ogromnym, pięknym Jeziorem Turawskim koło Opola na Śląsku). Emocje życia na łonie przyrody, a przede wszystkim, przyjaźń z rozsądnymi rówieśnikami, a szczególnie miłym Markiem — przywraca jej spokój i trzeźwe spojrzenie na świat. Kto wie, może zostanie z Markiem na dworcu po powrocie do rodzinnego miasta nie będzie ostatnie?

Reżyser „Tabliczki marzenia” — jest nim Zbigniew Chmielewski, absolwent łódzkiej szkoły filmowej, który do tej pory realizował tylko krótkie i średniometrażowe filmy dla telewizji — przeprowadził przed rozpoczęciem zdjęć ciekawy eksperyment. Gotowy scenariusz dał do czytania kilku rówieśnikom Ludki i Marka, po czym wysłuchał ich opinii o wizerunkach psychologicznych swych bohaterów, o języku, którym mówią, o motywacji ich postępowania. Młodzi krytycy podsunęli mu kilka nowych rozwiązań, niektóre partie skrytykowali, ale na ogół uznali scenariusz za ciekawy i odpowiadający temu, co sami o sobie myślą.

Teraz film jest gotowy. Przynosi propozycję spojrzenia na współczesną polską młodzież z nowej pozycji. A takich jak Ludka i Marek jest przecież więcej: przeciętnych, raczej rożgarniętych i rozsądnych, trzeźwo patrzących na świat i nie pozujących ani na rozwyzdzonych „bananowców”, ani na ekscentrycznych wyznawców totalnego buntu przeciw dorosłym.



Markowi można zaufać. Ludka — Julia Łuczowska i jej rówieśnik, sympatyczny Marek — Andrzej Pstrąg



Czasem i profesor może mieć rację (w roli prof. — Witold Skaruch)



Dzieciństwo jeszcze niezupełnie pożegnane.

Są tacy, jak tysiące ich rówieśników w szkołach całej Polski

